Biblioteka Jagiellońska

EPOKA

ROK VI. Warszawa, 15 stycznia 1939 r. ROK VI Nr 1-2 (140-141)

Treść:

Wielki pisarz o roku 1939

Wybitny, światowej sławy, pisarz angielski H. G. Wells ogłosił w demokratycznym piśmie News Chronicle swe przewidywania na rok 1939, w połączeniu z oceną najważniejszych faktów roku ubiegłego. Artykuły Wellsa wywołały olbrzymie zainteresowanie opinii publicznej i obszerną dyskusję w prasie i wśród publiczności.

Wells zaczyna od stwierdzenia, iż przebieg wypadków w chwili obecnej w niezwykle wysokim stopniu zależy od działań kilku, nielicznych jednostek. Dlatego właśnie historia naszych dni jest dramatyczna i nieobliczalna. Niczym nie pohamowane impulsy garstki ludzi decydują o losie setek milionów. Zmiana kilku jednostek na kierowniczych stanowiskach w pewnych krajach może nadać zupełnie inny przebieg wypadkom.

Odnosi się to w szczególności do Rzeszy, którą rządzi triumwirat: kanclerz Hitler, feldmarszałek Goering i minister Goebbels. Wells mówi o tym triumwiracie w niezwykle ostrym tonie, zarzucając poszczególnym jego członkom „manię wielkości" i „manię morderczą". Uważa zmianę reżymu i grupy kierowniczej w Rzeszy za zasadniczy czynnik pokoju. Gdyby taka zmiana się dokonała, Europa stanęłaby w obliczu nowych, odrodzonych i prawdopodobnie rozumnych Niemiec.

Pozycja reżymu nazistowskiego była w lecie bardzo zachwiana, dopóki Mr. Chamberlain, ku zdumieniu całego świata nie uratował jej ponownie. Obecnie, dopóki nie nastąpi jakiś nowy, wstrząsający, incydent, trzeba liczyć się z tym, że reżym nazistowski będzie jeszcze przez kilka lat stanowił wyzwanie i wywoływał osłupienie.

Natomiast w reszcie świata możliwe są duże zmiany. Reakcja na zabójczą politykę Chamberlaina w Anglii rośnie stale, ciągle, przybierając charakter prawdziwego przebudzenia narodowego. Jeśli dziś truizmem jest twierdzenie że Quai d'Orsay i pałac Westminster stworzyły nazistowskie Niemcy, to za jaki rok będzie można powiedzieć, że Hitler stworzył nową radykalną Anglię.

Jest rzeczą charakterystyczną, że z początku kapitulacja Chamberlaina spotkała się z publiczną aprobatą. Nie było natychmiastowego skurczu wstydu i oburzenia. Cała prasa rządowa, kina, nawet ajencje reklamowe, zabrały się do gloryfikowania „ponurego głupstwa", jakie stanowił chamberlainowski „pokój". Zdawało się, że im się to uda.

Ale nagle — ciągnie dalej Wells — zauważono, że ludzie zaczynają gwizdać w kinach, co stanowi rzecz niezwykłą w Anglii, i to gwizdać właśnie na widok tego wariacko zadowolonego z siebie gentlemana, wysiadającego z samolotu, lub wsiadającego do auta, by odwiedzić dyktatora, przy oklaskach cudzoziemskiego tłumu, uśmiechającego się i kłaniającego się.

Reakcja mas ludowych krajów anglosaskich jest powolna, ale dokonuje się ona w rosnącym stopniu. Kapitulacja monachijska odegrała w tym wielką rolę.

Prosty lud w Anglii i Ameryce w ciągu półtora wieku walczył o utrzymanie swej kontroli nad życiem społecznym, rządzonym w Anglii przez określoną klasę, w Ameryce przez określone interesy, które i tu i tam ograniczały i obcinały jak mogły oświatę, wypaczały

opinię publiczną i zamieniały życie gospodarczo-finansowe kraju w rojowisko uganiających się za zyskiem geszefciarzy. W obu krajach, mimo powierzchownych różnic metody i stylu, zwykły człowiek bywał stale oszukiwany i nabierany, ale w żadnym z tych dwóch krajów nie udało się go złamać. Obecnie ten prosty człowiek stoi w obliczu haniebnej zdrady brytyjskiej klasy rządzącej.

Wells, który — jak podkreśla — przez cały czas kryzysu czechosłowackiego znajdował się w ścisłym kontakcie z brytyjskimi kołami rządowymi, jest przekonany, że „chamberlainiści nie chcieli nawet ryzyka wojny z nazistowską Rzeszą — nie dlatego, by sądzili, że Hitler wyjdzie z niej zwycięsko, ale naodwrót, dlatego, bo byli pewni, że Hitler wskutek tego upadnie". Tłumaczy on w następujący sposób ich obawy:

„Wielka Brytania wyszłaby z tej wojny gniewna, obolała i oburzona, na geszefciarstwo tych, co zbierali zyski wojenne, na nieudolność tych, którzy byli odpowiedzialni za, ujawnioną w pełni, złą organizację jej sił zbrojnych. Francja także wyszłaby z tej wojny przebudzona i gniewna. Pozostawalibyśmy, niechętnie, w sojuszu z Rosją, w której, w każdym razie, życie finansowe jest zależne od państwa. Uwolnione Niemcy byłyby również wyraźnie rewolucyjną potęgą".

„Panowie z City i londyńskiego Westendu, dotąd skrajni imperialiści, stanęliby wobec alternatywy: albo nędzny, haniebny pokój, albo niebezpieczeństwo światowej przebudowy społecznej. Nie wahali się oni ani chwili. W bezwstydny sposób poświęcili honor narodu i przyszłość świata obronie swych własnych interesów".

Określiwszy tak treść angielskiej Targowicy, wielki pisarz przechodzi do analizowania jej techniki działania. Oskarża on rząd Chamberlaina o planowe i świadome organizowanie nonsensownej paniki wojennej, dla wymuszenia na narodzie kapitulacji monachijskiej.:

„Nagle John Bull znalazł się wśród krzyku głośników, komenderowany przez oficerów, zablokowany workami z piaskiem, hamowany w swych codziennych ruchach tłumami kobiet i dzieci, uciekających ze swych londyńskich domostw do źle wybranych schronisk na prowincji, gdzie brak było żywności, wody i opieki lekarskiej.

John Bull pyta się, z rosnącym zastanowieniem: Co do diabła? John Bull zaczyna rozumieć, że sama groźba niemieckich samolotów nad Londynem miała go skłonić do uciekania jak zając i jęczenia o łaskę. John Bull zaczyna rozumieć, jaką rolę wyznaczyli mu jego władcy w oczach świata.

I oto — ciągnie dalej Wells — John Bull zaczyna się ruszać. Zaczyna obserwować. Zaczyna stawiać pytania. Karmiono go oddawna bajeczką, iż jest odważnym i mądrym panem wielkiego Imperium. Teraz John Bull pyta: Co do licha zrobiliście z tym moim Imperium? Naprożno klasy panujące spędzają bezsenne noce na wyszukiwaniu odpowiedzi na takie pytania. Nigdy w Anglii, od czasów, które pamięta Wells, nie było takiej próby umysłów. Brytyjskie życie polityczne rozpada się w kawałki. Pękają dotychczasowe, stare, partyjne przegrody.

Poważna część partii konserwatywnej, ta jej część, która bierze na serio jej imperializm, znajduje się w stanie otwartej rebelii. Znaczna część dalsza tej partii, zwłaszcza jej czołowych polityków, próbuje rozpaczliwie utrzymać równowagę na szczycie płotu, który coraz bardziej staje się podobnym do ostrza noża, tak jest już cienki. Nie można przewidzieć absolutnie, w którą stronę, politycznie biorąc, skieruje się ktokolwiek z polityków brytyjskich, albo kto nowy wypłynie na powierzchnię życia politycznego Wielkiej Brytanii. Wszystko tu jest możliwe. Jedynie los p. Chamberlaina wydaje się Wellsowi jasnym. Ulegnie on angielskiej odmianie tego, co Rosjanie nazywają „likwidacją": zostanie mianowany członkiem Izby Lordów.

Przez cały rok 1939 będzie wzbierać w Anglii głęboko fala radykalizmu — przypuszczalnie bardzo patriotycznego radykalizmu. Prawdopodobnie gdzieś w połowie r. 1939 fala ta zmiecie obecny rząd brytyjski, a, może, zmiecie również sporą część obecnego brytyjskiego systemu rządowego i partyjnego. Niewątpliwie, będą próby hamowania i opóźniania tej fali, ale nie zdadzą się one na nic. Nie chodzi tu o proste przesunięcie międzypartyjne. Chodzi o rzeczywiste przebudzenie mas ludowych i każdy opór tylko wzmoże jego siły.

Tak więc pierwszą przepowiednią, jaką formułuje Wells, są nowe wybory do parlamentu, wybory, które wyniosą do władzy rząd radykalny, nie rząd samej Labour Party, a rząd ogólno-narodowy, wyszły przede wszystkim z szeregów lewicy, ale również obejmujący spory kontyngent młodych torysów i bezpartyjnych fachowców.

Po drugie przepowiada Wells nowe, wzmożone wysiłki związania z tym rozwojem Wielkiej Brytanii dominiów i kolonii brytyjskich.

Po trzecie przewiduje Wells rosnące zbliżenie pomiędzy Wielką Brytanią a Stanami Zjednoczonymi, wzrost stosunków i powiązań kulturalnych, m. i. dzięki wprowadzeniu stałej komunikacji lotniczej pomiędzy obu krajami.

Wyeliminowanie „szkoły Chamberlaina" z brytyjskiego życia politycznego doprowadzi do daleko idących zmian w polityce międzynarodowej. Wprawdzie Niemcy pozostaną ośrodkiem niebezpieczeństwa wojennego, dopóki nie nastąpi usunięcie od władzy wiadomego triumwiratu, ale zdecydowany, radykalny rząd brytyjski, wraz z radykalną Ameryką i w ścisłym porozumieniu z radykalną Francją, potrafi unieszkodliwić generała Franco i zakończyć wojnę domową w Hiszpanii. Włochy bluffują. Nie odważą się one na wojnę z całym światem anglo-saskim w obronie Franco.

Artykuł Wellsa kończy się wyznaniem wiary pisarza.

„Wierzę — pisze Wells — w wielkie, duchowe i polityczne zjednoczenie tego, co nazywamy mocarstwami demokratycznymi, dokoła radykalnie myślącego poro-

Od wydawnictwa

Wskutek epidemii grypy, która nie ominęła redakcji naszego pisma, i powstałych stąd trudności technicznych, numer ten wydajemy z opóźnieniem, za co przepraszamy naszych Prenumeratorów i Przyjaciół.

Numer ten wydajemy w zwiększonej objętości 24 stronic, z numeracją 1 — 2 i z datą 15 stycznia. W ten sposób wkraczamy w szósty (VI) rok istnienia „Epoki".

zumienia państw mowy angielskiej. Takie zjednoczenie mogłoby skutecznie powiedzieć: zaprzestańcie wojowania! Miałoby ku temu dostateczną broń w dłoni".

„Pokój, to nie jest rzecz pozbawiona oblicza. Nie jest to bynajmniej tylko zanikająca cecha ludzkości. Jest to coś o wiele trudniejszego niż wojna. Coś wymagającego o wiele więcej ludzkiej energii. Dla pokoju trzeba nie tylko zbroić się i ćwiczyć się w użyciu broni. Trzeba ludzi wychowywać dla pokoju".

„Pokój to zdecydowane, legalne usunięcie wojny przez stworzenie światowego ładu. Nie może być innego pokoju, chyba że nazwiemy pokojem chwilowy pokój porwanych, obrabowanych, wyczerpanych, śpiących niewolników!"

Dekada polityczna

Na przełomie dwóch lat. Skończył się rok 1938. „Nieprzyjemny rok", jak musiał przyznać nawet Mr. Neville Chamberlain, winowajca sporej porcji nieprzyjemności, którymi nas ten rok miniony obdarzył. Zaczyna się rok nowy, rok 1939, który nie zapowiada się bynajmniej lepiej. Problem ekspansji wojennej osi faszyzmów, ekspansji, którą można okiełznać jedynie zwartym stanowiskiem wszystkich przez nią zagrożonych, pozostał dotąd nierozwiązany. Ostatnia dekada przyniosła nam zaostrzenie tej ekspansji na trzech równocześnie odcinkach międzynarodowego frontu: na Morzu Śródziemnym, w basenie naddunajskim i na Dalekim Wschodzie. Siły oporu dały znać o sobie: konferencja w Limie, kredyty anglosaskie dla Chin — to konkretne pociągnięcia przeciw osi. Ale osiowa kampania antypolska we Francji trwa i nawet przybiera na sile. Demokracje zwierają swój front powoli i z dużym opóźnieniem. Nic dziwnego, przecież w ich łonie działają mocne agentury osi: wpływy magnatów finansowych związanych tysiącznymi nićmi z prawdziwymi władcami Trzeciej Rzeszy, rządcami niemieckich trustów i koncernów.

Perspektywa katolickiego pisma. Jakże słuszne jednak wydają się w tej sytuacji uwagi organu francuskiej lewicy katolickiej, paryskiej „L'Avantgarde", która pisze wręcz:

„Przyznajemy, że sytuacja międzynarodowa jest bardzo krytyczna, by powiedzieć prawdę, katastrofalna. Przyznajemy, że prowadzi ona do wojny, bo to jest prawda".

„Istnieje jedna jedyna szansa pokoju, krucha wprawdzie, ale bardzo realna. Jest nią bunt ludów przeciwko nieludzkim ustawom i poglądom, które na nich ciążą. Ale, aby ten bunt w krajach totalnych stał się rzeczywistością, trzeba prowadzić twardą politykę. Dyktatorzy tak samo nie mogą obejść się bez ruchu, bez dynamiki, bez coraz to nowych podbojów, jak człowiek nie może obejść się bez powietrza. Naprzód, bez przerwy, bez wypoczynku, takie jest ich straszliwe prawo a jeśli kiedyś natrafią na twardy i zdecydowany opór, wtedy sama ich egzystencja znajdzie się w niebezpieczeństwie. Wtedy musi dojść do — wewnętrznej lub zewnętrznej — eksplozji".

„Niestety, niema innego wyjścia: albo stopniowo podporządkować się ustawom nowego totalitarnego pogaństwa, albo zająć zdecydowane stanowisko, które może wprawdzie wywołać akt rozpaczy ze strony dyktatorów, ale które, z drugiej strony, może stanowić impuls psychologiczny dla ich ujarzmionych ludów i skłonić je do buntu. Kto próbuje robić co innego, ten niszczy jedyną szansę pokoju, tego czeka straszliwe przebudzenie".

Ale, pamiętajmy, że Mr. Chamberlain i p. Bonnet, zaufany banku Lazard Frères, tego właśnie buntu boi się nawet więcej niż klęski własnego kraju...

Ofensywa włoska w Hiszpanii Ofensywa gen. Franco, zapowiadana od miesięcy, ostatecznie się rozpoczęła. Niemałą rolę w jej opóźnieniu odegrały trudności wewnętrzne. Prasa zagraniczna, nawet niezbyt przychylna republice hiszpańskiej, podaje sporo konkretnych wiadomości o buntach całych jednostek wojskowych, o głębokim niezadowoleniu nawet w sztabie, w korpusie oficerskim rebelii. O podjęciu ofensywy zadecydowała ostatecznie wola Rzymu, który liczył na to, że sukcesami swego hiszpańskiego wasala będzie mógł wytargować coś niecoś od angielskiego gościa, mającego go odwiedzić w dniach najbliższych. Dywizje włoskie odgrywają też decydującą rolę w natarciu. Nie jest to ofensywa rebelii hiszpańskiej. To ofensywa włoskiego korpusu ekspedycyjnego na hiszpańskiej ziemi.

Ofensywa zresztą, jak dotąd, nieudana.

Republikanie przygotowali na przywitanie rebeliantów skomplikowany system obronny, trudny, zdaniem pism angielskich, do zdobycia nawet dla bardzo wysoko wyszkolonej armii. Morale armii Republiki jest niezwykle wysoka — stwierdzają to nawet chamberlainowskie „Times".

Komunikaty rebelii sprzed dwudziestu dni zapowiadały na Nowy Rok zajęcie Tarragony. Nowy Rok minął, a wojska włoskie nie przekroczyły nawet granicy prowincji Tarragona. O bohaterstwo ludu hiszpańskiego i wolę wytrwania jego rządu rozbija się potężna przewaga dwóch mocarstw osi, mocarstw, przed którymi kapitulowała Francja i Wielka Brytania!

Ciszej o żądaniach włoskich. Po fortissimo awantur anty-francuskich we Włoszech przyszło pewne odprężenie, pozorne zresztą i chwilowe. Nie ma już demonstracji ulicznych, pan Gayda nie mówi już o zajęciu Tunisu, tylko o obronie praw włoskich obywateli w Tunisie. Chamberlainowskie organy w Londynie uśmiechają się z zadowoleniem.

Oczywiście, wszystko to, to jedynie chwilowy manewr. Włochy nie rezygnują z żadnego ze swych anty-francuskich żądań. Jeśli w tej chwili przytłumiają nieco ton, to czynią to z dwóch przyczyn: po pierwsze dalszy ciąg awantur anty-francuskich uniemożliwiłby wizytę Chamberlaina w Rzymie, a przecież po tym możnym protektorze spodziewa się Mussolini, że skłoni on Francję do stopniowej kapitulacji; po drugie zaś niemiecki partner osiowy każe sobie płacić za poparcie i dokładna cena zapłaty nie jest jeszcze ustalona. Chodzi tu o basen naddunajski.

Ciano — komiwojażer Berlina. Ostatnia wizyta budapeszteńska min. Ciano była taką pierwszą zapłatą za poparcie. Ciano występował tu — trzeba to stwierdzić dobitnie — jako wyraźny komiwojażer Berlina. Rzecz tym bardziej charakterystyczna, że przecież pozycje, na które wprowadzał Trzecią Rzeszę, to były dawne, tradycyjne, uparcie od dwudziestu lat bronione pozycje włoskie. Zreasumujmy wyniki tej wizyty.

Węgry w dziedzinie polityki zagranicznej rezygnują z zasady państwowej, „zbierania ziem korony Św. Stefana", a przyjmują zasadę etnograficzną, „zbierania ziem węgierskich". W tłumaczeniu na język codziennej praktyki oznacza to po prostu, że Węgry rezygnują z aspiracji do Zakarpacia, lenna Trzeciej Rzeszy, a kierują swe uderzenie przeciwko Rumunii, z którą ta Trzecia Rzesza ma

pewne porachunki. W polityce wewnętrznej Węgry, wbrew protestowi wielu czołowych figur stronnictwa rządowego, nie mówiąc już o opozycji, wprowadzają zaostrzone, o rasistowskim charakterze, ustawy anty-żydowskie. Wreszcie nowy węgierski min. spraw zagranicznych hr. Csaky zapowiada zupełne oparcie polityki Węgier o oś, dając do zrozumienia, iż Węgry wystąpią z Ligi Narodów a zgłoszą akces do paktu anty-kominternowskiego.

Prasa niemiecka triumfuje. „Italien blickt nach dem Süden" „Włochy patrzą na Południe" — pod tym radosnym tytułem przynosi „Frankfurter Zeitung" sprawozdanie z podróży Ciano. Chyba wystarczy.

Cudeńka słowacko-zakarpackie. Okazuje się jednak, że nie dość na tym. Nagle Berlin przypomniał sobie o krzywdzie Słowaków, których sam kilka zaledwie tygodni temu, oddał pod węgierskie rządy. „Völkischer Beobachter" drukuje na ten temat wzruszające rewelacje. Radiostacja w Bratysławie, kontrolowana przez p. Gauleitera Karmasina i p. Sidora, wczorajszego madiarofila, obecnego agenta Trzeciej Rzeszy, podaje dzień w dzień nowe, prawdopodobnie zresztą prawdziwe, sprawozdania o madziarskim ucisku. Hlinkowa Garda, finansowana ongi przez hrabiego Esterhazy, dziś — z innych źródeł (ma piękne, czarne mundury) grozi marszem na Koszyce. Oczywiście wszystko to nie dzieje się bez kozery...

Ta kozera, to możliwość rewizji arbitrażu wiedeńskiego. Podobno argumenty węgierskie, głoszące, iż Zakarpacie nie może istnieć odcięte od Mukaczewa i Użhorodu, przekonały wpływowe sfery berlińskie. I dlatego Berlin ma zamiar zaproponować, by — przyłączyć Użhorod i Mukaczewo do Zakarpacia. Jako, że „Węgrzy wyznania mojżeszowego", na podstawie których stwierdzono węgierskość tych miast, to przecież, nawet podług ustaw węgierskich, tylko „parszywe żydy", psujące czystą rasę potomków Arpada. W interesie narodu węgierskiego będzie więc, by te ośrodki rasowej zgnilizny znalazły się poza granicami państwa.

Chyba... Chyba, że na krześle premiera w Budapeszcie zasiądzie p. Szalassy czy inny stuprocentowy agent Berlina. Wtedy.. kto wie? Wtedy może będzie można powierzyć mu całe Zakarpacie dla oczyszczenia go od „żydowskiej zarazy". Bo wtedy, rzecz jasna, nadal na Zakarpaciu będzie rządził „geopolityk" generał Haushofer i jego pomocnicy. Kanonik Wołoszyn i prowodyrzy ouenowskich Siczy".

P.S. Już po oddaniu do druku powyższych uwag, nadeszły wiadomości o nowych „cudach" za Karpatami. Nad Mukaczewem zagrały armaty.

Gleichschaltung Czechosłowacji. Tymczasem ostateczny Gleichschaltung Czechosłowacji odbywa się w przyspieszonym tempie. Rząd czeski zabronił zakładania nowych fabryk, które mogłyby stać się konkurencją dla zakładów, położonych na terenach, odstąpionych Rzeszy. Coraz głośniej mówi się o unii celnej z Rzeszą. Agrarny „Venkov", naczelny organ p. Berana, solidaryzuje się z żądaniami kolonialnymi Niemiec i głosi, że „prawdziwa rewolucja XX wieku, to antysemityzm". Tragedia Piotra Förstera, zbiega z niemieckiego obozu koncentracyjnego, wydanego Trzeciej Rzeszy i ściętego na trzeci dzień po wydaniu, świadczy najlepiej, jak daleko posunęło się upodlenie aktualnych, formalnych przynajmniej, rządców Hradczyna.

Bo przecież jego rządcą faktycznym — dobrze jest przypomnieć o tym wielu reakcyjnym organom polskim — nie jest p. Beran ani p. Hacha, tylko radca stanu z berlińskiej Wilhelmstrasse.

Kampania antypolska „monachijczyków" francuskich. W tej chwili gorączkowej akcji osi, opinia państw demokratycznych, nie zdołała niestety wykazać pełnego zrozumienia rzeczywistości. Szczególnie we Francji kampania „monachijska" uderza w tej chwili całą siłą w system francuskich sojuszów i paktów na Wschodzie, żądając wycofania się Francji z Środkowej Europy.

Najdalej angażuje się, oczywiście prasa hitlerowska. Taki „Matin" np., który w czasie kryzysu czechosłowackiego popierał całkowicie Hitlera, i dlatego cieszył się szczególną popularnością wśród naszej prasy reakcyjnej, odważa się obecnie pisać wręcz: „Que la Pologne s'en debrouille". Reakcyjna szmata „Gringoire", organ Chiappe'a i Tardieu pisze w tym samym stylu. Ale i „Temps" w artykule wstępnym, choć ostrożnie, powtarza, w treści to samo: propozycję „rewizji" sojuszu z Polską. Nawet w „Oeuvre" faszyzujący neosocjalista p. Deat pisze: Trzecia Rzesza kieruje się na Wschód, na Polskę, Rumunię, Rosję. My, Francuzi, będziemy mieli spokój.

W obliczu tej ślepoty politycznej znacznej części mieszczaństwa francuskiego, dobrze się stało, że ostatni kongres S.F.I.O. zdecydowanie odrzucił koncepcje kapitulacji wobec osi, że stanął na stanowisku obrony pokoju i zachowania sojuszów i przyjaźni Francji na Wschodzie Europy. Wzmocni to poważnie „obóz oporu", posiadający zwolenników we wszystkich kierunkach myśli francuskiej, od Delbos, Herriota, Campinchi, poprzez Paul Reynaud i Bidault'a, aż do de Kerillis'a i jego przyjaciół na skrajnej prawicy.

Konferencja w Limie. Jeśli Francja nie przedstawia zbyt radosnego obrazu, to z za Oceanu przychodzą wieści o wiele lepsze. Konferencja panamerykańska w Limie zakończyła się sukcesem Stanów. Uchwalono na niej ostre potępienie doktryn i prądów totalistycznych. Uchwalono współdziałać w zwalczaniu wszelkiej propagandy totalistycznej na kontynencie amerykańskim. Wypowiedziano się — rzecz szczególnie ważna i doniosła — przeciw metodom handlowym Trzeciej Rzeszy, szczególnie aktywnej pod tym względem na terenie Ameryki Południowej.

Charakterystyczny jest oddźwięk prasy europejskiej na te uchwały. Podczas gdy prasa francuska i angielska wita bez zastrzeżeń postanowienia konferencji w Limie, prasa włoska i niemiecka robią co mogą, by pomniejszyć ich znaczenie. Znalazło się jednak w Rzymie pismo, które przyniosło niemal in extenso uchwały konferencji, wywody anty-totalistyczne sekretarza stanu Hulla i oceniło je ze swej strony, jako „postanowienia o doniosłym znaczeniu moralnym". Oczywiście, pismo to nie wychodzi pod cenzurą Mussoliniego. Jest nim wydawany w Watykanie organ papieski „Osservatore Romano".

Stany Zjednoczone przeciw osi. W ogóle w Stanach Zjednoczonych wzmaga się coraz bardziej prąd antytotalistyczny. Wiadomo już powszechnie, iż rząd Stanów interweniował w Londynie i Paryżu przeciw przyznaniu kolonii Niemcom, przeciwko przyznaniu gen. Franco praw strony wojującej, że prosił Paryż o odroczenie podpisania deklaracji francusko-niemieckiej. Wiadomo, że Waszyngton stał się ośrodkiem, do którego zjeżdżają czołowi przedstawiciele europejskiego „stronnictwa oporu", od Edena po Bluma. Wiadomo, że Waszyngton postanowił ofiarować nadwyżki zboża amerykańskiego, zmagazynowane w rządowych składach, za darmo głodnej ludności Hiszpanii, co, jeśli stanie się rzeczywistością, będzie niezwykle poważną pomocą dla rządu Republiki. A trzeba pamiętać, że mówi się i o jeszcze dalej idących zarządzeniach.

Senator Pittman, prezes komisji spraw zagranicznych Senatu amerykańskiego tak ostatnio określił pozycję Stanów w polityce międzynarodowej:

„1) Naród amerykański nie lubi rządu japońskiego. 2) Naród amerykański nie

lubi rządu niemieckiego. 3) Naród amerykański przeciwny jest wszelkim dyktatorskim formom rządu, zarówno faszystowskim, jak komunistycznym. 4) Naród amerykański ma prawo i siłę, aby zmusić do przestrzegania zasad moralności i sprawiedliwości, zgodnie z traktatami zawartymi ze Stanami Zjednoczonymi i uczyni to. 5) Rząd nasz nie ma potrzeby używania siły wojskowej i nie będzie jej używał, chyba że zostanie do tego zmuszony".

Mowa min. Ickesa

Charakterystycznym pod względem ustosunkowania się do państw totalistycznych, był incydent z mową min. spraw wewnętrznych Stanów Harolda Ickesa, wygłoszoną w Cleveland. Powiedział on w niej m. in.:

„Jest obrazą dla wieków średnich porównywanie ich z nowoczesnym totalizmem. Aby znaleźć odpowiednik totalizmu trzeba zawrócić do czasów, kiedy człowiek był ciemny, zwierzęcy i nieokrzesany. W pewnych częściach Europy możemy dziś studiować człowieka prymitywnego, bez rekonstruowania jego ustroju z szczęki ludzkiej, wykopanej z ziemi, czy też kilku narzędzi, używanych w zamierzchłych wiekach. Inteligencja i kultura narodu, który odznaczał się wybitnymi cechami, została zatopiona bez śladu w gęstym mroku czasów pra-pierwotnych. Znowu rządzi krajami wiara w czarownice a dyktatorzy stali się arcykapłanami bardziej okrutnego niż wtedy, choć również bardziej wyrafinowanego fetyszyzmu".

„Żaden Amerykanin nie powinien przyjmować odznaczeń z rąk brutalnego dyktatora, który tymi samymi rękoma rabuje i morduje tysiące jego bliźnich. Nie można przyjmować odznak od kogoś, kto uważa za stracony każdy dzień, w którym nie popełnił nowej zbrodni przeciwko ludzkości".

Tymi słowami poczuł się obrażony rząd niemiecki i zażądał, przez swego chargè d'affaires w Waszyngtonie satysfakcji. Podsekretarz stanu Summer Welles, po porozumieniu się z prezydentem Rooseveltem odpowiedział na to, iż min. Ickes jedynie wypowiedział to, co myśli przygniatająca większość narodu amerykańskiego i że, wobec tego, rząd Stanów nie widzi żadnego powodu do przepraszania. Niemcy po długim namyśle, odpowiedziały komunikatem, w którym wyrażają przekonanie, że dopóki ministrowie amerykańscy krytykują rząd Rzeszy, nie może być serdecznych stosunków pomiędzy rządami obu krajów. Zdaje się jednak, że narazie Waszyngton wcale nie tęskni do takich „serdecznych stosunków".

Cała sprawa jest dla Niemców tym bardziej przykra, że mimo gorączkowych poszukiwań nie tylko nie udało się wyszukać Ickesowi jakiejś „żydowskiej babki" czy prababki, ale, co więcej, okazało się, że pochodzi on od „aryjskich" imigrantów z... Niemiec! Policzek, jaki dostały Niemcy, dostały więc właśnie od człowieka „niemieckiej krwi".

Anglosaski szach Japonii.

W gwałtownym zaostrzeniu tonu odpowiedzialnych kół Stanów Zjednoczonych, niemałą rolę odgrywa zachowanie się trzeciego sojusznika faszystowskiego trójkąta: Japonii.

Sukces monachijski jej europejskich partnerów uderzył do głowy generalskiej klice japońskiej. Kiedy zaś Anglia pozwoliła Japończykom, pozornie bez oporu, na zajęcie Kantonu i otoczenie posterunkami japońskimi brytyjskiego Hong-Kongu, Japończycy zupełnie stracili głowę. Japonia oświadczyła wręcz, że nie uznaje dotychczasowych traktatów o „otwartych drzwiach" w Chinach i że dopuści tam jedynie tych, którzy zgodzą się uznać tam jej bezwzględną hegemonię. Tego było za dużo nawet dla cierpliwych Anglosasów.

Przede wszystkim rozpoczęły się, coraz ostrzejsze, protesty. Ambasador amerykański składa je co chwila, przy każdej sposobności, dbając równocześnie o należyty ich rozgłos w prasie Stanów. Ambasador angielski składa ich mniej, zgodnie z „monachijską" polityką Chamberlaina, ale za to krzyczą głośno przedstawiciele kapitału brytyjskiego w Chinach. Niedawno u ambasadora brytyjskiego w Szanghaju odbyło się posiedzenie „interesów brytyjskich" w Chinach. Zebrani „interesanci" jednogłośnie zaprotestowali przeciwko bezczynności rządu brytyjskiego i zażądali zdecydowanej polityki wobec Japonii, w szczególności zaś wypowiedzenia traktatu handlowego brytyjsko-japosńkiego. Zważywszy, że kapitały brytyjskie w Chinach sięgają coś półtora miliarda funtów (czterdzieści miliardów złotych!) można przypuszczać, że ich głos będzie przecież, przynajmniej w pewnej mierze, wysłuchany w Londynie. Są to przecież dobre funty, nie „jakiś tam ludek, o którym nic nie wiemy", jak to kiedyś powiedział Mr. Chamberlain o Czechosłowacji.

W każdym razie za krzykiem poszły czyny. I tu początek zrobiła Ameryka: udzieliła Chinom pożyczki 25 mil. dolarów. Jest to niewiele, na dwa miesiące zakupów wojennych, ale za tą pożyczką mają pójść inne. Anglia musiała, choć z bólem serca, naśladować Stany. Pożyczka angielska jest mniejsza, ale za to służyć ma ona wykończeniu drogi Yunnan-Fu — Burma, która uniezależnia Chiny od dostaw morskich (to znaczy: sprowadza do zera wartość zajęcia Kantonu). Pożyczki anglo-saskie pozwolą Chinom na dalsze prowadzenie wojny, mimo olbrzymich poniesionych dotąd strat i kosztów.

A trzeba pamiętać, że każdy miesiąc trwania wojny chińskiej, to nowy, straszliwy ciężar dla Japonii, którą dopiero po wygranej w Chinach czeka przeprawa z Sowietami. Trzeba pamiętać, że japońskie rezerwy złota i dewiz są niemal wyczerpane, że eksport japoński niemal na wszystkich rynkach spotyka się z dotkliwym bojkotem, że liczby poległych i kalek po stronie japońskiej zbliżają się już do miliona. A tymczasem zwycięstwo jest dalsze niż kiedykolwiek: władza japońska nie sięga poza linie komunikacyjne i wielkie miasta, choć i tu jest narażona na ciągłe napady chińskich terorystów i partyzantów. Na terenach agrarnych rządzą partyzanckie rządy, uznające zwierzchnictwo Czang-Kaj-Szeka. Gros zaś regularnej armii chińskiej nie tylko nie uległo dotąd rozbiciu, ale rośnie jeszcze wciąż, wzmagane szybko dokształcanymi, zaczerpniętymi z nieprzebranych rezerw ludzkich Chin, dywizjami dodatkowymi. Stanowczo, smutno przedstawiają się perspektywy azjatyckiego partnera „trójkąta".

Od Wydawnictwa

Abonentów,

którzy

zalegają

z opłatą prenumeraty za kwartał ubiegły i bieżący

prosimy

o uregulowanie

należności.

Dzieje współczesne w żywych osobistościach

Stanisław Bukowiecki

Stanisław Bukowiecki urodził się w Opatowie, w obecnym województwie kieleckim w 1867 r. Po ukończeniu gimnazjum w Radomiu odbył studia prawnicze w Warszawie, a następnie w Heidelbergu, gdzie w 1890 r. uzyskał doktorat. Po powrocie do kraju, poświęcił się adwokaturze, praktykując naprzód w Dąbrowie Górniczej, a później, od 1897 r. w Warszawie, gdzie odtąd stale przebywa. Tu trzeba podać, jako niezmiernie ważny szczegół biograficzny, że Stanisław Bukowiecki rozpoczynał swój zawód prawniczy pod kierunkiem Henryka Krajewskiego jako jego pomocnik. Poza adwokaturą, Stanisław Bukowiecki zajmował się pracą pedagogiczną i działalnością społeczną. Wykładał nauki ekonomiczne i prawne, między innymi, na Wyższych Kursach Handlowych Siemiradzkiej, na takich samych, znanych dawniej w Warszawie, Kursach Zielińskiego (obecnie S. G. H.), oraz na Wyższych Kursach Naukowych, przekształconych w początkach naszego wieku na Wolną Wszechnicę, której jest profesorem honorowym.

W 1915 r. Stanisław Bukowiecki, jako członek Wydziału Oświecenia Komitetu Obywatelskiego brał czynny udział w organizacji szkół wyższych, w szczególności Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego. W 1916 r. wykładał na zorganizowanych wówczas Kursach dla wyższej administracji. Wstępując w styczniu 1917 r. do Tymczasowej Rady Stanu, Stanisław Bukowiecki wykreślił się z adwokatury. W Radzie Stanu był członkiem Wydziału wykonawczego i dyrektorem Departamentu Sprawiedliwości. Na tym stanowisku, Stanisław Bukowiecki dźwignął jedno z najważniejszych dzieł swego życia, mianowicie polskie sądownictwo państwowe, które w dniu 1 września 1917 roku rozpoczęło swoją działalność.

Rada Stanu, rozwiązując się, powołała Stanisława Bukowieckiego do Komisji Przejściowej, a ta przekazała po dwóch miesiącach władzę Radzie Regencyjnej. Powołany przez tę ostatnią na stanowisko Ministra Sprawiedliwości, Stanisław Bukowiecki złożył ten urząd razem z całym rządem Kucharzewskiego, a akt ten był następstwem zawarcia Traktatu pokojowego w Brześciu. Później Stanisław Bukowiecki był czynnym jako Radca prawny Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. W dniu 1 kwietnia 1919 r. mianowany zostaje przez Naczelnika Państwa prezesem Prokuratorii Generalnej R. P., która dźwignięta została jego twórczym trudem i rozpoczęła swoją działalność po upływie zaledwie półrocza, tj. w dniu 1 października 1919 r.

Przed tym jeszcze, nim zaczął tworzyć zręby Prokuratorii Generalnej, Stanisław Bukowiecki w lutym i marcu tegoż roku uczestniczył w Ankiecie Konstytucyjnej, która opracowała pierwszy urzędowy projekt Konstytucji demokratycznej Polski Odrodzonej. W sierpniu 1919 r. powołany na wiceprezydenta Komisji Kodyfikacyjnej, Stanisław Bukowiecki działa jako przewodniczący podkomisji dla ustroju sądownictwa, a także jako członek podkomisji dla osobowego prawa małżeńskiego, i wreszcie jako przewodniczący podkomisji prawa rzeczowego, w której czynny jest do dnia dzisiejszego.

Wkrótce upłynie więc dwadzieścia lat od chwili, kiedy Stanisław Bukowiecki mianowany został pierwszym prezesem Prokuratorii Generalnej. W zorganizowanie i uruchomienie jej włożył cały swój zapał, pragnąc żarliwie, aby urząd, który miał być nie tylko adwokatem skarbu państwa i przedsiębiorstw państwowych, ale i obrońcą interesów państwa, jako podmiotu prawa narodów, oraz opiniodawcą w zakresie projektowania ustaw, — czyli czynności daleko wybiegające poza ramy zwykłych czynności adwokackich, — stanął na bardzo wysokim poziomie.

Ten zwięzły a jeszcze niezupełny wykaz zadań, czynności i obowiązków bynajmniej nie wyczerpuje treści tego twórczego i pracowitego żywota. Stanisław Bukowiecki dał się poznać nie tylko jako pedagog i działacz społeczny, przez pewien czas nielegalnie pracujący pod zaborem, nie tylko jako prawnik, który oddał na usługi społeczeństwu swą wielką wiedzę prawniczą, ale także chlubnie dał się poznać jako pisarz o rozległych horyzontach myślowych. W jego dorobku pisarskim figurują, między innymi, takie pozycje jak: „Filozofia prawa J. J. Rousseau", „O pośrednictwie pracy", „Prawo górnicze na ziemiach polskich w przeszłości i teraźniejszości", „Naród jako podmiot gospodarstwa społecznego", „Szkoła wobec prawa publicznego", „Rosja w Polsce" (wydawnictwo zakordonowe). W czasie wojny ogłosił w języku francuskim rzecz pt. „La Pologne", po wojnie zaś wydał w 1922 r. największą swoją rozprawę pt. „Polityka Polski Niepodległej", a nadto rzeczy pomniejsze, jak np. „Dzielnicowość w Polsce współczesnej", „Polska Współczesna — szkic ustroju państwowego", „Les minorités en Pologne", „Przed zmianą konstytucji", „Rola czynników wewnętrznych w odbudowie Państwa Polskiego" i inne.

Demokracja polska jest w tym szczęśliwym położeniu, że ma tradycję jedną z najbogatszych w Europie, że może czerpać z bogatych doświadczeń przeszłości wykuwanej na własnym gruncie, zadając kłam fałszerzom, bredzącym o obcych wzorach.

Oto najgłówniejsze dane i szczegóły biograficzne o Stanisławie Bukowieckim. Już sam ten wykaz daje jasne wyobrażenie o jego trudzie życiowym i o rozmiarach dzieła historycznego, tworzonego z jego natchnienia i pod jego kierunkiem w warunkach zdawałoby się pierwotnie beznadziejnych, obciążonych klątwą syzyfowej pracy. Z jego osobą i jego imieniem związane są nie tylko powołane przez niego do życia instytucje, będące dziś wykładnią prawa, ale przede wszystkim duch sprawiedliwości i humanizmu, duch moralnego prawa, który wraz z Stanisławem Bukowieckim wkraczał i w instytucjach tych zapanowywał. Podtrzymuje on swoim życiem i swoim trudem te ogniska kultury polskiej, założone i rozniecane przez tych wszystkich, którzy przez wiek cały toczyli ciężkie i ofiarne boje z napastniczą ciemnotą, umysłowym zastojem, służalczością, uciskiem i krzywdą społeczną, a przede wszystkim z niewolą i przemocą we wszystkich dziedzinach życia, myśli i ducha. Bezpośrednim wzorem moralnym, wzorem poświęcenia, hartu, nieugiętości, czynnego patriotyzmu był Henryk Krajewski, minister spraw zagranicznych w rządzie Traugutta, adwokat, zmarły w Warszawie w 1897 r. Pod urokiem tej postaci pozostaje Stanisław Bukowiecki do dnia dzisiejszego: „miałem szczęście — oświadczył niedawno — rozpoczynać zawód prawniczy pod kierunkiem Henryka Krajewskiego jako jego pomocnik, widziałem więc jego pracę, a przede wszystkim poznałem jego wielki charakter, któremu równego nie spotkałem". Miłując wolność nade wszystko, Henryk Krajewski dumnie znosił najsroższe doświadczenia z ręki ciemięzców i trzykrotnie po ukończeniu każdej kaźni, wracał z zapałem do działalności konspiracyjnej. Osadzony z początku w Cytadeli warszawskiej, gdzie spędził przeszło rok, Krajewski wyprawiony potym został na katorgę do Nerczyńska. Przeszedł tę olbrzymią drogę piechotą, przykuty do sztaby żelaznej, łącznie z innymi skazańcami. Ta pierwsza jego podróż trwała trzy lata. Odtąd przez dwadzieścia lat życie tej niezłomnej postaci płynąć będzie bądź na zesłaniu lub w katordze, bądź w podziemnej robocie niepodległościowej i powstańczej.

Wspominamy tu o Henryku Krajewskim, jako o mistrzu młodości Stanisława Bukowieckiego i o źródle moralnym, skąd zaczerpnął pierwsze natchnienie do swej wspaniałej pracy publicznej i obywatelskiej przyszły twórca odnowionego sądownictwa polskiego. Sam jako uosobienie ducha sprawiedliwości cały wysiłek swego pracowitego i twórczego życia obróci na umocnienie w życiu polskim poczucia prawa, a o dobór swoich współpracowników do spełniania tego dzieła będzie zawsze wysoce dbały; od swych urzędników będzie wymagał niezmiennie nie tylko wiedzy, lecz przede wszystkim etycznej nieskazitelności.

Do jakiego znaczenia i wagi urasta w chwili obecnej treść życia i dzieła Stanisława Bukowieckiego, zgłębić można wtedy dopiero, gdy się uwzględni, że pochód faszyzmu tratuje już samą ideę prawa, depce prawo zarówno narodów, jak i jednostek, burzy porządek prawny, stanowiący jeszcze zaporę i tamę na drodze inwazji nowego barbarzyństwa. Prorocy „nowej" wiary i chwalcy „nowej" nauki usiłują dziś wydrzeć z serca narodów wszelkie poczucie prawa i sprawiedliwości, zniweczyć to wszystko, nad czym pracowały wieki cywilizacji, ażeby zdeprawowane i wyzute z poczucia ludzkości narody rzucić pod stopy tyranów.

Na takim tle dziejowym tym wyraźniej odcina się postać Stanisława Bukowieckiego jako spadkobiercy i kontynuatora polskiej idei prawa moralnego i humanizmu, która była i pozostaje ideą całej walczącej inteligencji polskiej. Jest on prawdziwym wcieleniem kultury polskiej i żywym jej rodowodem.

HENRYK LUKREC

Z dnia na dzień

1939

Rok, który przeminął, obfitował w wydarzenia i przewroty sięgające tak głęboko w rzeczywistość polską i europejską, że cyfra 1939 ma dla nas znaczenie nie tylko kalendarzowe. To, co zaszło w ostatnich miesiącach roku minionego, a właściwie w ciągu niewielu tygodni września i października, stworzyło sytuację tak dalece nową i niepodobną do sytuacji Polski i całej Europy w minionym dwudziestoleciu, że bez wszelkiej przesady można dziś mówić o nowym okresie, biorącym początek od Monachium i arbitrażu wiedeńskiego.

Tak, zaczął się okres nowy. Ale nowy nie w tym sensie, jaki wmawiał w naiwnych polski obóz reakcyjny — i nie w tym sensie, jaki nadawała mu do chwili monachijskiego przełomu i jaki co gorsza nadaje mu i dziś nasza prasa antydemokratyczna!

Przyszedł okres, wytęskniony wprawdzie, wyśniony i wyprorokowany przez faszystów, hitlerochwalców i wsteczników wszelkiego autoramentu, okres triumfu „idei narodowej" — okres niewątpliwych sukcesów Trzeciej Rzeszy. Ale jakże bardzo różni się ta nowa rzeczywistość od tego ponętnego obrazu, który reakcja polska od lat roztaczała przed społeczeństwem!

Mitteleuropa znajduje się już w stadium przyśpieszonej realizacji. Na jej czele stoi kanclerz i wódz Trzeciej Rzeszy, otoczony wasalną świtą Beranów, Sidorów, Chvalkovskych, Tisów i Wołoszynów. Zachwalana i dziś jeszcze jako jedyne zbawienie Polski „idea narodowa" okazała się — prędzej niż można było przypuszczać — ideą Wielkich Niemiec, pod których sztandarem skupia się teraz wstecznictwo każdego kraju, występujące w imię swych egoistycznych, materialnych interesów do walki z własnym narodem. I są dziś w różnych krajach — nie wyłączając nawet Francji — ludzie, którym marzy się rola Beranów i Sidorów!

Tak wygląda nowa „narodowa" rzeczywistość środkowo-europejska 1939 roku. Jaka w tych zmienionych warunkach politycznych jest sytuacja naszego państwa i jakie zadania stawia ona przed narodem polskim — o tym piszemy stale. I stale podkreślamy, że zadaniom tym sprostać zdoła tylko społeczeństwo wolne, społeczeństwo o pełnej samowiedzy, zabezpieczone przed trującymi wpływami obcych, faszystowsko-totalnych i reakcyjnych ideologii, które paraliżują i niweczą siłę obronną narodu, zagrożonego imperialistyczną ekspansją, posuwającą się właśnie pod sztandarem faszyzmu, totalizmu i reakcji.

Taka jest prawda polityczna Polski w roku 1939.

Przed nową wiosną ludów

Stwierdziliśmy w poprzednim zeszycie „Epoki", że w tej pomonachijskiej i powiedeńskiej rzeczywistości politycznej jedynie demokracja okazała się ruchem istotnie, bez cudzysłowu narodowym; jedynie idea wolności, idea praw człowieka i obywatela okazała się ideą prawdziwie, głęboko narodową. Odnosi się to nie tylko do Polski. Prawda ta — jedna z podstawowych prawd 1939 roku — uwidoczniła się we wszystkich krajach, które już uległy lub w blizkiej przyszłości ulec mają zaborczemu napadowi faszystowskiego bloku wojennego. Przejawiło się to nawet w obu największych mocarstwach zachodnio-europejskich. Tam właśnie, we Francji i w Anglii, okazało się, że zerkająca w stronę faszyzmu reakcyjna bankokracja z zimną krwią podporządkowała interesy narodowe i państwowe swoim własnym, egoistycznym rachubom i kombinacjom, że te pierwsze interesy złożyła bezwstydnie na ołtarzu drugich, wyzyskując dla tej zbożnej roboty pewne, zaślepione krótkowzrocznym posybilizmem, jednostki i grupy w łonie demokracji. I naodwrót — ostatnie wydarzenia wykazały, że liczne — coraz liczniejsze — żywioły prawicowe, społecznie zachowawcze, obce i bardzo często tradycyjnie wrogie ideałom i dążeniom demokracji, musiały uznać, iż tylko obóz demokratyczny reprezentuje istotne, żywe i nieprzemijające wartości narodowe, że tylko demokracja służy interesom narodu i państwa, które nie mogą być sprzeczne z interesami ludu.

Tym wyraźniej sprawa ta przedstawia się w krajach Europy środkowej i południowo-wschodniej, znajdujących się obecnie w obliczu bezpośredniego niebezpieczeństwa pangermańskiego, którego forpocztami okazały się **pseudonarodowe** ruchy totalno-faszystowskie. Walka demokracji z tymi przednimi strażami wszechniemieckiego imperializmu urasta w ten sposób do znaczenia walki ogólno-narodowej.

W miarę jak fala zaboru i reakcji zalewa równiny Europy środkowej i przelewa się przez łańcuchy jej gór — rośnie w narodach wola obrony. Dziś nie wszędzie jeszcze ujawniony, płynący nieraz odrębnymi strumykami, prawdziwie narodowy prąd demokracji popłynie niedługo potężnym nurtem walki o wolność! Droga demokracji i wolności dziś bardziej, niż kiedykolwiek okazuje się jedyną drogą ludów środkowo-europejskich, bo zagraża im ciągle ten sam wróg o dwu twarzach: podboju i reakcyjnej despotii. Stoimy przed nową wiosną ludów. Demokracja powołana jest do ujęcia steru wielkiego ruchu narodowego w każdym kraju, zagrożonym przez wszechniemiecką ekspansję i toczonym przez zabójczy bakcyl hitleryzmu. Skupione pod sztandarem demokracji w wielki prawdziwie narodowy obóz wolności, każde społeczeństwo będzie umiało skutecznie popsuć szyki, pokrzyżować plany i przekreślić rachuby swych „narodowych" kandydatów na Beranów i Sidorów! Zwycięsko stawi czoło zaborczemu pangermanizmowi.

Sprawa wolności i niepodległości — choć poważnie zagrożona — wcale nie jest w Europie przegrana. Nie jest też przegrana w Europie środkowej.

Metoda Jaremy Wiśniowieckiego

Niedawno na łamach „Robotnika" red. Niedziałkowski przestrzegł przed złudzeniem, że „metodą Jaremy Wiśniowieckiego" możnaby pokrzyżować machinacje hitleryzmu, który usiłuje wykorzystać problem ukraiński w Polsce dla zaborczych, wojennych planów Trzeciej Rzeszy.

Ostrzeżenie to jest bardzo na czasie. Faktem jest, że reakcja ukraińska prawie w stu procentach (z wyjątkiem znikomej liczebnie grupy biskupa Chomyszyna) postawiła na Berlin i Huszt. Faktem jest również, że ukraiński obóz faszystowski posiada poważne wpływy wśród inteligencji i młodzieży i że — co do tego nie wolno się łudzić — nie jest bynajmniej izolowany w masach ludowych (z wyjątkiem Wołynia). A w każdym razie sytuacja obecna wybitnie sprzyja hitlerowskiej propagandzie wśród Ukraińców na terenie województw południowo-wschodnich.

Byłoby więc ze stanowiska polskiego grzechem nie do darowania, gdyby uznano metodę Jaremy Wiśniowieckiego za właściwy sposób unormowania sprawy ukraińskiej. Wyznawcy tej fatalnej metody, przedstawiciele tradycyjnego szowinizmu ukrainożerczego, utożsamiają hitleryzm ukraiński ze społeczeństwem ukraińskim i wyciągają stąd wnioski, których realizacja nieuchronnie musi pchnąć wszystkich Ukraińców w objęcia berlińskich agentur. Spadkobiercy Wiśniowieckiego argumentują: polityka normalizacji zbankrutowała i dlatego jedynie bezwzględna walka z Ukraińcami położy raz na zawsze kres hitlerowskim machinacjom.

Otóż polityka normalizacji nie zbankrutowała, a to z tej prostej przyczyny, że jej dotąd w ogóle nie było. To, co w ostatnich latach nazywano normalizacją, a co rzeczywiście zbankrutowało, nie było przecież normalizacją stosunków ze **społeczeństwem** ukraińskim. Obdarzenie mandatami do Sejmu i Senatu kilkunastu undowców z województw połud.-wschodnich i kilku petlurowców z wołyńskiego bajratu p. Józewskiego nie miało przecież nic wspólnego z najbardziej nawet skromnym uregulowaniem problemu ukraińskiego. Skutki nie długo dały na siebie czekać.

Bo sprawa ukraińska w Polsce nie może być traktowana jako „atut" w takich czy innych kombinacjach polityki zagranicznej. Użyta jako atut sprawa ta, jak widzimy, wygrywana dziś jest przez graczy z Berlina — również na użytek polityki zagranicznej, tylko tym razem już nie polskiej.

I w tej sytuacji lęgną się w starczych głowach profesorskich zgubne pomysły à la Wiśniowiecki! Trzeba być ślepym lub obłąkanym, żeby nie widzieć, iż jest to woda na młyn hitleryzmu!

Hitlerowskim knowaniom na tym terenie położyć może kres tylko istotna, odważna i głęboko sięgająca, prawdziwie demokratyczna normalizacja (że użyjemy tego skompromitowanego terminu) stosunków ze społeczeństwem ukraińskim.

Żale „Kuriera Warszawskiego"

Jesteśmy dziś świadkami niezwykle charakterystycznego procesu. Oto bankrutują podstawy polityki zagranicznej naszego obozu hitlerofilskiego i — co dziś w praktyce na jedno wychodzi — mussolinofilskiego. Jeszcze niedawno cała prasa reakcyjna zachwycała się sukcesami Berlina, jeszcze niedawno zapewniano nas o przyjaźni włoskiej... Dziś zaczynają mnożyć się głosy rozczarowania. Rozczarowanie to dotyczy nietylko polityki Niemiec hitlerowskich, ale także i Włoch, na które niedawno jeszcze próbowali stawiać niektórzy mędrcy naszej reakcji, zdający sobie sprawę z wątpliwości, jakie nasuwała przyjaźń niemiecka, a bojący się demokratycznej zarazy Zachodu.

„Kurier Warszawski", który od jakiegoś czasu, z wyjątkiem tylko p. Strońskiego, zawraca coraz wyraźniej na sanacyjne tory, nie może ukryć rozczarowania z wyników budapeszteńskiej wizyty Ciano. „Jakże więc, pyta, Włochy i tym razem były tylko sekundantem Niemiec? Może nie przejmuje nikogo w Palazzo Chigi czy w samym Palazzo Venezia, co knują Węgrzy, co myś-

lą Polacy, co cierpi nieszczęsna ludność Rusi, ale przecież mocno chyba przejmuje tam wszystkich, jakie będzie stanowisko nowego imperium w Europie Środkowej i Wschodniej. Więc Włochy dopuściły Rzeszę na granicę Brenneru, usadowiły ją mocno w basenie naddunajskim, oddały jej niemal klucz przemysłowy i strategiczny byłej monarchii habsburskiej i jeszcze oddają korytarz na Wschód europejski?"

I organ p. senatora Mrozowskiego dochodzi nieśmiało zresztą i niepewnie, do wniosku, że być może, dzieje się to dlatego, że Niemcy za to poprą Włochy na terenie Afryki, że więc Włochy, rezygnują z wpływów w Europie Środkowej i Wschodniej, dla uzyskania korzyści na Morzu Śródziemnym. Jest to niewątpliwy fakt, przewidywany zresztą cały czas przez obóz demokracji polskiej. Tak jest: Włochy — w każdym razie na północ od Alp — to tylko trabant Trzeciej Rzeszy. Ale po co **„Kurier Warszawski"** przez długie miesiące opowiadał nam o przyjaźni włoskiej, o możliwości oderwania Włoch od Rzeszy, o możności oparcia się o Włochy w oporze przeciw ekspansji hitlerowskich Niemiec?

Nie chodzi tu o złośliwe retoryczne pytanie. Chodzi o metody myślowe, przy pomocy których wypracować trzeba nową politykę zagraniczną Rzeczypospolitej, chodzi o przełamanie tej chorobliwej wprost manii szukania sojuszników i przyjaciół Polski wśród przedstawicieli prądu faszystowskiego, prądu obiektywnie wrogiego niepodległości Polski.

„Zespół" nie traci nadziei

Do symptomów tej samej manii zaliczyć trzeba ostatnie wywody „Zespołu" na temat Zakarpacia. W odróżnieniu od reakcyjnej prasy brukowej, nie widzącej za plecami kanonika Wołoszyna, prawdziwych jego mocodawców i władców Zakarpacia, „Zespół" jasno, po męsku, ujmuje sytuację: „Ruś (jak zresztą i Słowacja) — stwierdza — jest dziś rządzona przez Niemców. Nie przez Czechów, Słowaków lub księdza Wołoszyna. Poprostu i jasno: przez Niemców. Mają tam swoich wojskowych attachè, licznych konsulów, jeszcze liczniejszych (choć rozumie się już nie oficjalnych) speców od robótek narodowościowych, tu i tam przez obszary Czechosłowacji będą szły eksterytorialne (czytaj: niemieckie) autostrady, rurociągi naftowe, a w niedalekiej przyszłości zobaczymy co jeszcze".

Publicysta „Zespołu" jest dobrze poinformowany. Stwierdza on dobitnie: polityka polska spotyka się na terenie Zakarpacia z Rzeszą Niemiecką. Ale jaki z tego wniosek wyciąga ozonowy publicysta? Trudno uwierzyć, ale to prawda: apel do kanclerza Hitlera! „Zespół" skarży się do dobrego pana zamku w Berchtesgaden na złe, niegrzeczne zabawy panów Ribbentropa, Goebbelsa, Haushofera. Dosłownie:

„Hitler nie wyrzekł ostatniego słowa. Tyle razy prostował błędne drogi swych ziomków. Może i tym razem sprostuje. O ile wiemy, kanclerz Hitler nie rozstrzygnął jeszcze dalszego kierunku polityki zagranicznej Niemiec".

Ależ rozstrzygnął, szanowny panie ze „Zespołu", dawno rozstrzygnął. Tym razem jest pan źle poinformowany. Trzeba było „nadużyć trochę sztuki czytania". Trzeba było czytać nie tylko ustawy norymberskie (wcale udatną ich kopię zamieścił „Zespół" jako swój własny projekt przed kilku tygodniami) ale także „Mein Kampf", dzieła p. Rosenberga i p. von Leersa. Nie dziwiłby pan się teraz rzeczom, które przewidywał każdy, kto choć trochę interesował się wytycznymi polityki zagranicznej Trzeciej Rzeszy. I nie zawracałby pan gitary jeszcze teraz, że „może przecież sprostuje". Nie sprostuje, bo musiałby „sprostować" własną, od wielu lat przygotowywaną linię polityczną.

Komu potrzebne jest w tej chwili łudzenie polskiej opinii publicznej, że „może przecież sprostuje"?

Wspólny Front

„Dziennik Ludowy" zwrócił uwagę na ciekawe zjawisko:

„Prasa endecko-oenerowa, **za wyjątkiem oficjalnego organu endecji,** bez żenady sformułowała swój program: przekreślić wynik wyborów samorządowych, nie zważać na układ sił w nowych radach miejskich, użyć wszystkich środków, aby władzę w samorządach zagarnąć dla ludzi obozu nacjonalistycznego i reakcyjnego, chociażby przy tym miał być zniszczony samorząd i pozbawiony zdolności do życia".

Postawmy kropkę nad „i". Otóż „prasa endecko-oenerowa za wyjątkiem oficjalnego organu endecji" — to poprostu prasa krypto-sanacyjna. To różne „Gońce", „Wieczory", „ABC" i t. p. Ta prasa obliczona na publiczność, wychowaną w duchu endeckim, za pomocą frazeologii „staro" — czy „nowo" endeckiej realizuje równie sprawnie jak dyskretnie sanacyjną, ozonową linię w dziedzinie polityki wewnętrznej i zagranicznej. I takie też stanowisko zajęła po wyborach samorządowych. Ta właśnie prasa najgłośniej domagała się (np. „Goniec") utworzenia w samorządzie „jednolitego frontu" reakcji, ścisłego porozumienia Ozonu, endecji i ONR. Ona też chciała by przekreślić wyrażoną w głosowaniu wolę społeczeństwa, które niedwuznacznie wypowiedziało się przeciw ozonowym koncepcjom monopartyjnego totalizmu.

W tym samym jednak numerze „Dziennik Ludowy" zwrócił uwagę na inne, pozornie tylko dziwne zjawisko:

„Nader płodny publicysta „Naszego Przeglądu" p. C. D. wystąpił z artykułem, w którym **prowokuje powtórzenie wyborów samorządowych,** przy czym wysuwa dwa argumenty: niezdolność do funkcjonowania warszawskiej rady miejskiej i względy „konstytucyjne" — wyznaczenie wyborów na niedzielę przedświąteczną".

Powiedzieliśmy, że zjawisko to jest tylko pozornie dziwne. Bo „Nasz Przegląd" — podobnie jak endo-oenerowe brukowce — jest organem krypto-sanacyjnym, na co zwróciliśmy już swego czasu uwagę, przy zupełnie innej okazji, kiedy to organ sanacji żydowskiej również wystąpił w jednolitym froncie z „Gońcami", „Wieczorami" i „ABC".

Oczywiście pomysły prasy krypto-sanacyjnej, gdyby nawet zostały zrealizowane, nie miały by najmniejszego wpływu na rzeczywiste nastroje społeczeństwa, tak dobitnie ujawnione w wyborach samorządowych.

Konieczność historyczna

Kampania ideologiczna, rozwinięta po śmierci Romana Dmowskiego przez prasę jednolitego frontu faszystowskiego, jest dalszym przejawem wytężonej akcji obozu antydemokratycznego, zmierzającej do konsolidacji skłóconych jego odłamów. Różnice programowo-polityczne dawno już zatarły się niemal bez reszty. Jeżeli w niektórych kołach sanacyjnych i staro-endeckich żyją jeszcze animozje, zrodzone z dawnego, przedwojennego sporu orientacyjnego, żywego jeszcze podczas wojny światowej — to dziś należą one już tylko do historii. Żelazna konieczność chwili nakazuje wszystkim odłamom obozu antydemokratycznego skupienie się pod wspólnym sztandarem totalizmu i reakcji.

A to wymaga podkreślenia wspólności **ideowej** — nie tylko taktycznej. Ide-

ologia Romana Dmowskiego, który zresztą w ostatnim dziesiątku lat swego życia potrafił zmodernizować swój nacjonalizm w kierunku faszystowskim, nadaje się bardzo dobrze do ozonizacji. To, co nieaktualne już, co miało walor przemijający, zostaje przez samą rzeczywistość polityczną złożone do archiwów. To, co żywe i aktualne, reakcyjny nacjonalizm, sfaszyzowany wedle znanych wzorów, strach przed demokracją, antysemityzm, orientacja zagraniczna na siły w danym momencie najreakcyjniejsze — to wszystko pozostaje jako nieocenione, wspólne dobro całej reakcji.

Widzimy przecież, że ONR bardzo — powiedzielibyśmy — inteligentnie łączy shitleryzowaną ideologię Dmowskiego z praktycznym poparciem systemu sanacyjnego. Jeżeli właśnie w Warszawie Ozonowi udało się w wyborach samorządowych dokonać poważnego wyłomu w endeckim stanie posiadania, to stało się to nie tylko dzięki jawnemu poparciu Akcji Katolickiej, ale także dzięki nieoficjalnej, faktycznej pomocy ONR. Właśnie w stolicy, gdzie z natury rzeczy waga liczebna żywiołów zależnych oraz zoeneryzowanej, nie dawno jeszcze endeckiej studenterii i młodej inteligencji, jest stosunkowo największa, Ozon „położył" Stronnictwo Narodowe. A szedł do wyborów z hasłami typowo endeckimi, zgodnie zresztą ze swą ideologią.

Trwający od wielu już lat proces „dmowszczenia" obozu, niegdyś wrogiego orientacji endeckiej, jest zjawiskiem historycznie koniecznym i nieuchronnym. Żadne perswazje i apele do minionej bezpowrotnie przeszłości nie zawrócą Ozonu z drogi, którą obrał w chwili swego powstania.

P oblem jednostki

Spędziwszy urlop na lazurowym brzegu, min. Beck w przeddzień święta Trzech Króli zawitał w pokryte śnieżnym całunem góry bawarskie — do Berchtesgaden.

PAT milczy. I milczy prasa zależna. A choć prasa francuska i angielska — od najpoważniejszych organów aż do ostatniego brukowca — pisze o berchtesgadeńskich rozmowach bardzo dużo i snuje najbardziej sensacyjne domysły — opinia polska pozostaje ciemna jak tabaka w rogu.

Zdaje się, że w każdym razie na tle sytuacji pomonachijskiej i powiedeńskiej wizyta min. Becka w Berchtesgaden była dla wielu, zwłaszcza w Polsce, niespodzianką. Czy jednak była naprawdę, obiektywnie niespodzianką? Zapewne — wszyscy „zaskoczeni" powiedzą, że nowa rzeczywistość stwarza konieczność daleko idącej zmiany dotychczasowego kierunku naszej polityki zagranicznej (z którą demokracja i przedtem przecież się nie godziła).

Zgoda. A jednak — zdaniem naszym — niespodzianka jest tylko pozorna. „Zaskoczeni" wskazują mianowicie na **obiektywną** konieczność zmiany naszej polityki zagranicznej. Co do tego nie ma oczywiście dwóch zdań. Co innego jednak obiektywna konieczność — a co innego znów subiektywne, psycho-polityczne możliwości i predyspozycje. W takich zagadnieniach odgrywa ostatecznie rolę bardzo ważką nie tylko sprawa obiektywnej konieczności, ale problem o wiele bardziej skomplikowany, problem woli jednostek i zespołów jednostek. Rzeczywistość może się natarczywie domagać polityki „A" — ludzie, obarczeni funkcjami politycznymi, mogą nadal trwać przy polityce „B", z którą zrośli się w ciągu lat, która weszła już w ich strukturę myślową jako najistotniejszy tej struktury element. Na tym polega przecież tak częsty w dziejach konflikt między jednostką a rzeczywistością.

Rehabilitacja Targowicy

Ciekawe rozważania snuje w „Czasie" p. Dr. St. Sidorowicz. Na marginesie bardzo interesujących skądinąd badań, nie pozbawionych i aktualnego znaczenia, o metodach, przy których pomocy stary Fryc, zasiadłszy u ujścia Wisły, dławił handel polski, znajduje sposobność do niezwykle wymownej rehabilitacji Targowicy. „Kwestia bankructwa politycznego konstytucji majowej, kwestia powstania a zwłaszcza zwycięstwa Targowicy, wymaga chyba głębszego podejścia, jaśniejszego naświetlenia, bardziej przekonywującej argumentacji, niż to wszystko, co znajdujemy w historiografii porozbiorowej" poucza nas historyk, korzystający z gościny organu „panów magnatów, książąt, hrabiów, prałatów", by użyć słów starej powstańczej pieśni.

I dalej że gromić „sądy dowolne i argumenty jakże często ad usum delphini formułowane", „legendę o trzech archaicznych tyranach, którzy za judaszowe srebrniki zaprzedali swą ojczyznę", „zużyte schematy". Dalej że apoteozować „uświadomienie polityczne społeczeństwa szlacheckiego", wspominać, jak to „tylu z t. zw. (tak zwanych!) targowiczan dało się uprzednio poznać z całkiem przyzwoitej strony". Dalej insynuować, że „z poza sylwetek działaczy Sejmu Wielkiego przeświecała ręka Prus". By wreszcie dojść do ostatecznej konkluzji, że „niekoniecznie odpowiada rzeczywistości ów dotychczasowy pewnik, jakoby ta połowa społeczeństwa, która zapełniła targowiczańskie szeregi, uczyniła to z głupoty, czy też materialnych korzyści...", że trzeba „całą ponurą kwestię targowiczańską przesunąć z płaszczyzny subiektywno - materialistycznej w dziedzinę polityki".

Nie będziemy polemizować na temat Targowicy z organem dawnych stańczyków. Dziwimy się, mimo wszystko, że, fachowy historyk, jakim jest Dr Sidorowicz nie wie nic o tym, co oddawna było wspólnym dorobkiem choćby nawet tak lekceważonej przezeń historiografii porozbiorowej, że mianowicie zdrada targowicka wynikła z nienawiści najbardziej reakcyjnej części magnaterii i ciemnych rzesz szlacheckich do Konstytucji Trzeciego Maja, w szczególności zaś do jej, jakże skromnych, mizernych niemal, reform socjalnych, ożywionych rzekomo duchem, jak brzmiał ówczesny terminus technicus „jakobińskich klopów". Dziwimy się, że historyk „Czasu" nie umie odróżniać pomiędzy, nieistotną zresztą i krótkotrwałą polityką takiego czy innego sojuszu, a zawezwaniem obcej interwencji przeciw własnemu krajowi. Czyżby Dr Sidorowicz doprawdy chciał powiedzieć, że Konstytucję Trzeciego Maja podyktowały Polsce armaty pruskie, tak jak armaty carycy Katarzyny, uczczonej później pomnikiem przez wileńskich współideowców „Czasu", głosiły narodowi polskiemu anty-jakobińskie dekrety Generalicji Targowickiej?

Mniejsza o historiografię p. Sidorowicza. Ciekawsza jest rzecz inna: poco właściwie organ naszej konserwy bierze się dziś, akurat właśnie dziś, do rehabilitacji Targowicy, kiedy ona się lęże w Czechach, Słowacji, Hiszpanii i w innych krajach?

Jeżeli chodzi o Targowicę, warto zawsze pamiętać jedną okoliczność: w latach rozbiorów podstawowy trzon narodu, rzesze ludowe, był niestety „wielką niemową". Sąd nad Szczęsnym Potockim i jego kompanami musiała wydać dopiero historia. W czwartym dziesięcioleciu dwudziestego wieku, gdyby się u nas zalęgła, jak gdzieindziej, myślimy, że nie trzeba byłoby czekać aż na sąd historii. Tym razem głos Jakóba Jasińskiego nie przebrzmiałby nadaremnie...

Dwadzieścia lat poezji w Polsce Odrodzonej

I.

Granice epok literackich są naogół dość płynne i niełatwo dają się ująć w ścisłe cyfry chronologiczne. Mimo to przy ich wyznaczaniu istnieje zawsze tendencja do wskazywania choćby z niejakim uproszczeniem konkretnych dat. Za taką przybliżoną datę, zamykającą okres bujnego rozkwitu poezji „Młodej Polski", przyjmuje się powszechnie rok 1914. Jest w tym nieco dowolności, ponieważ z jednej strony wspaniałe tętno życia literackiego wspomnianej epoki osłabło już znacznie wcześniej, z drugiej zaś, jeszcze po Wielkiej Wojnie wypadło żyć i tworzyć wielu pisarzom zasadniczo związanym z tamtą minioną dobą.

Nie podlega natomiast dyskusji fakt, że odrodzenie w wyniku Wojny Światowej niepodległego Państwa Polskiego zadecydowało o dalszych losach i charakterze naszego piśmiennictwa pięknego. Poeci „Młodej Polski" byli ostatnimi z pośród zmuszonych tworzyć w mniej lub więcej okrutnych dla ich działalności warunkach niewolniczego bytu. Pisarzom mającym zabłysnąć po Wielkiej Wojnie przypadła w udziale praca w całkowicie zmienionych okolicznościach życia politycznego. Uzyskana przez naród niepodległość zainicjowała w 1918 roku — jak i dla innych dziedzin życia kulturalnego — nową erę dla poezji polskiej.

Przede wszystkim zwycięskie zakończenie walk wyzwoleńczych spowodowało gruntowne załamanie się głównej od wieku podstawy ideowej literatury polskiej, polskiej poezji. Oto spełnił się sen pokoleń, ucieleśniło się wieszcze słowo romantyków: Polska zerwała narzucone sobie przemocą pęta. I co dalej?

Trzeba niestety, przyznać, że wyzwolenie polityczne narodu naogół zaskoczyło poezję polską. Różne grupy pisarzy w różny sposób odniosły się do tego kapitalnego faktu, najpowszechniej jednak mniemano, że niepodległe państwo uwolni poezję od ciążących jej już cokolwiek obowiązków służby społecznej, że niepodległość stanie się podstawą wyjściową dla „artystowskiej" ery w naszej sztuce. Trudno tu kogokolwiek z młodych naówczas poetów zbyt surowo oskarżać za grzech główny społecznej bezideowości, skoro nawet pisarz tak ostrowidzący jak Żeromski uległ w pewnej chwili złudzeniom, które wkrótce przyszło mu zaliczyć do rzędu swoich wielkich pomyłek.

Głównymi wyrazicielami nastrojów panujących po „wybuchu" niepodległości stali się w poezji młodzi pisarze skupieni wokół warszawskiego miesięcznika „Skamander". Oni to sformułowali swego rodzaju program „bezprogramowości". Wiara — dość ogólnikowa — w „dzień dzisiejszy", pochwała radości życia pojmowanego w sensie nawskroś biologicznym — słowem apoteoza witalizmu, ufność pokładana w talencie, wreszcie wiara „w świętość dobrego rymu, w boskie pochodzenie rytmu" etc. etc.— oto główne kierunkowe twórczości tych poetów.

Wychodząc z koncepcji zgodnej z naogół powszechnym przeświadczeniem, utrwalonym już zwłaszcza w świadomości warstwy mieszczańskiej, będącej jak dotychczas głównym konsumentem poezji, odnieśli „Skamandryci" stosunkowo bez trudu zwycięstwo. Tuwim, Lechoń, Słonimski, Wierzyński, Iwaszkiewicz pierwszymi niemal tomikami swoich wierszy podbili sobie serca czytającej publiczności. Przyszło im to tym łatwiej, że już na wstępie zdążyli zapewnić, iż „nie zdradzą serc dla nowinek". Byłoby jednak niesprawiedliwością nie dodać, że istotnie reprezentowali rzetelne talenty i w łańcuchu tradycyjnej poezji stanowią dziś w konsekwencji cenne ogniwo.

Wprawdzie Tuwim w pierwszym swoim tomiku poezji p. t. „Czyhanie na Boga" ogłasza się „pierwszym w Polsce futurystą", — futuryzm to jednak nie stający na przeszkodzie uwielbieniu świeżych jeszcze „młodopolskich" tradycyj literackich, uosobionych w Staffie. Staff wyrósł tu na Noego arki przymierza między dawnymi i nowymi laty współczesnej naszej poezji. Podobna rolę odegrał również Leśmian jako autor „Łąki". Pozatem ulegali „Skamandryci" i innym rozlicznym wpływom. Z rosyjskich poetów nie sposób przy okazji pominąć liryków-symbolistów jak Balmont, Briusow, Błok itp. Z jednakowym uznaniem odnosili się do futurysty i „bolszewika" Majakowskiego jak i do „dekadenta" imaginisty Jesienina. Z Francuzów prawdziwym kultem otoczony przez nich został J. A. Rimbaud. Dodać warto, że wszyscy wymienieni obcy poeci — ściślej biorąc, ich utwory — tłumaczone były przez „Skamandrytów" i to niejednokrotnie znakomicie. Oczywiście źródła wpływów sięgały tu szerzej, wymieniam je tylko częściowo dla ogólnej orientacji.

Z konieczności podyktowanej szczupłością ram niniejszego szkicu zmuszony będę stale do streszczeń i uproszczeń. Uproszczenia te jednak nie mogą posunąć się aż do świadomego zniekształcenia obrazu. W związku z tym wyjaśnieniem trzeba zaznaczyć, że mimo podkreślonej bezprogramowości społeczno-ideowej poezji „Skamandra", niepozbawiona jest ona tu i ówdzie akcentów socjalnych czy nawet politycznych. Na dowód wystarczy przytoczyć choćby „Czarną wiosnę" Słonimskiego lub takie utwory Tuwima jak „Do generałów", „Do prostego człowieka", „Na śmierć Prezydenta Narutowicza" itp. Gdyby rzecz

Do przyjaciół Epoki

PROSIMY O PODANIE NAM ADRESÓW OSÓB, KTÓRYM NALEŻY PRZESŁAĆ NUMERY OKAZOWE EPOKI.

rozpatrywać zresztą z tego jednostronnego punktu widzenia, do czego — przyznaję — mam zawsze mimowolną predylekcję, Słonimskiemu należałoby się osobne omówienie. Oddając „Skamandrytom", co im się należy, nie wolno nie podkreślić, że te akcenty społeczno-ideowe w ich twórczości noszą charakter dość przypadkowy, bynajmniej nie wynikający z jakiejś świadomie przyjętej postawy duchowej.

W rezultacie „Skamander" to — jak ktoś zręcznie określił — album poezji, przy którego układaniu głównym sprawdzianem wartości zamieszczonych w nim utworów był „talent" ich autorów. Można by się sprzeczać o to pojęcie „talentu", ale dajmy pokój zawiłościom.

Wśród grup poetów — tradycjonalistów, powstałych w zaraniu niepodległości w Polsce, obok „Skamandrytów" należałoby również wymienić pisarzy skupionych wokół poznańskiego „Zdroju" oraz grupę „Czartaka".

Około roku 1920 sformułowano na łamach „Zdroju" program ekspresjonizmu polskiego, który zdaniem jego teoretyka Jana Stura miał być dalszym konsekwentnym rozwinięciem romantyzmu, teorią harmonii pomiędzy kształtem piękna a jego wewnętrzną treścią. Ekspresjonizm to kierunek o podłożu metafizycznym. Trzeba to zaznaczyć, gdyż w odróżnieniu poezja „Skamandra" opierała się na ogół zawsze na mocnym fundamencie realistycznym. Wszakże jednak — tu, jak zawsze i wszędzie — między grupami, oraz między programami a ich realizacją, istniała płynność i daleko posunięte rozbieżności. W wyniku zacierania się granic obok „ekspresjonistów" jak Stur, Jerzy i Witold Hulewicze, Józef Wittlin i Adam Bederski, drukowali swoje utwory w „Zdroju" także i „Skamandryci" — Tuwim, Wierzyński, Iwaszkiewicz...

Nie chcąc wdawać się w nieprowadzące do niczego, prócz zamazania obrazu, zawiłości poetyckich programów, w dalszym ciągu tego szkicu podawać będziemy tylko najcharakterystyczniejsze cechy tych programów. I tak, mówiąc o „Czartaku", nie od rzeczy będzie wskazać, że ten „zbór poetów" posiadał w założeniach swych pewne elementy kultury regionalnej — beskidzkiej. Wyrazem tego było sięganie n. p. do gwary beskidzkiej jako materiału językowego. Do twórców tej „poezji na tle gór" należeli Emil Zgadłowicz (który w ostatnich latach przebył interesującą drogę przemian), Edward Kozikowski, J. N. Miller i Janina Brzostowska (że wymienimy tylko co najprzedniejszych). Obraz twórczości tej grupy nie byłby nawet tylko zaznaczony, gdybyśmy pominęli, że prócz elementów ludowości niemałą rolę w poezji „Czartakowców" odgrywały pierwiastki religijne.

Wymieniając tych tradycjonalistów działających i tworzących w zaraniu niepodległości, pomijam z musu mniej znaczne ugrupowania (jak krakowski „Helion" z Jerzym Braunem), poetów z doby wojny (jak zmarły w r. 1922 — świetny przede wszystkim nowelista — E. Małaczewski) i pozostawiam narazie na uboczu chodzących luzem (jak Iłłakowiczówna, która jeszcze przed W. Wojną rozpoczęła swoją twórczość).

Jednocześnie z wymienionymi ugrupowaniami pisarskimi (nawiasem trzeba dodać, że grupowe wystąpienia poetów stanowią jedną z cech charakterystycznych doby powojennej w Polsce) ukazali się na naszym horyzoncie literackim poeci — nowatorzy: futuryści, formiści etc.

Przed omówieniem poszczególnych grup i pisarzy — nowatorów oraz charakteru ich twórczości trzeba ujawnić pierwej trzy sfery wpływów nowatorskich w ówczesnej Europie. Były nimi: włoski futuryzm z jego twórcą i wodzem Marinettim, jego młodszy brat — futuryzm rosyjski z czołowym swoim przedstawicielem Majakowskim oraz awangardowy ruch poetycki Francji, uznający za swego promotora Apollinaire'a.

Futuryzm w Polsce — ten zwłaszcza ortodoksyjny, w stylu włoskim — nie odegrał poważniejszej roli. Przede wszystkim w stosunku do swego pierwowzoru był chronologicznie nieco u nas spóźniony (Marinetti ogłosił swój manifest futurystyczny w r. 1909). Niezależnie od tego nie znalazł on w Polsce ani sprzyjających warunków kulturalnych, ani społeczno-politycznych możliwości rozwoju. Burzycielskie hasła tego kierunku spłynęły po umysłowości polskiej jak po psie woda. Głębiej nieco, ale też stosunkowo powierzchownie, dały się tylko zaszczepić niektóre pierwiastki nowoczesności jak urbanizm, kult dla maszyny, uwielbienie zbiorowości... Ostatecznie poza wspomnieniem licznych ekstrawagancyj i hałaśliwych wystąpień nie pozostawili po sobie futuryści polscy żadnego trwalszego śladu, a co najważniejsze — żadnego godniejszego uwagi wkładu do ogólnego skarbca literatury. Równie niepoważny charakter nosiły przeważnie b. liczne manifesty i deklaracje ideowo-społeczne futurystów, zbyt wyraźnie zmierzające do epatowania „burżuja".

Do obozu futurystycznego należeli w Polsce tacy pisarze jak Bruno Jasieński, Anatol Stern, Młodożeniec, Jerzy Jankowski, Wat i inni.

O wiele poważniej od autorów tego rodzaju dzieł, jak „Ja z jednej strony i ja z drugiej strony mego mopsożelaznego piecyka", przedstawiali się teoretycy innej grupy nowatorów zwanych „formistami". Na kształtowanie się poglądów artystycznych formistów, wśród których spotykamy nazwiska malarzy-poetów jak Tytus Czyżewski czy Leon Chwistek, wpłynęły doświadczenia nowatorskich kierunków w plastyce (n. p. kubizm). Tendencja do rugowania hamulców dla swobodnej gry wyobraźni czytelnika stanowiła tu jedno z naczelnych założeń twórczości, co w konsekwencji prowadziło do rozbijania obowiązujących zasad składni, znaków przystankowych w pisowni etc.

Zwycięstwo demokracji to nie tylko realizacja potrzeb dnia dzisiejszego — to tryumf haseł jakie przez wieki jednoczyły najlepsze siły do walki o niepodległość narodu i wolność człowieka, walki o sprawiedliwość społeczną. Istnieje nieprzerwana i zawsze żywa więź między każdym dniem zmagania się sił społecznych wczoraj i dziś.

Wśród formistów wystąpił przyszły wieloletni papież awangardy poetyckiej w Polsce, Tadeusz Peiper. Pod jego to redakcją ukazywał się się później przez szereg lat naczelny może organ polskiej myśli nowatorskiej w poezji — „Zwrotnica". Głównymi współpracownikami „Zwrotnicy" byli, prócz wymienionego już Peipera, Julian Przyboś, J. Brzękowski, A. Ważyk i Jalu Kurek.

Jakiż cel przyświecał tej grupie pisarzy? Otóż nie różnił się on w zasadzie od celu, jaki stawia sobie prawie zawsze każdy prawdziwy artysta: dać najwłaściwszy wyraz swojej epoce, stworzyć styl dla tej epoki jedyny i niepowtarzalny. Jest to napozór program bardzo skromny i zarazem bardzo ambitny. Trudności pełnej jego realizacji są wielorakie. Wynikają one z kwestyj zarówno właściwego ujęcia charakteru epoki jak i odpowiedniego wyboru najwłaściwszych środków wyrazu. Poeci „Zwrotnicy" — podobnie zresztą jak futuryści — cechy osobliwe współczesności dostrzegli przede wszystkim w wielkoprzemysłowej cywliizacji epoki. „Miasto, masa, maszyna" — te trzy M — to dla Peipera zasadnicze symbole czasu. Osobiście uważam takie postawienie sprawy za zbyt łatwe przeniesienie istoty rzeczy na rekwizyty, ale narazie mniejsza z tym. Jako najistotniejszy zaś, najwłaściwszy środek ekspresji dla tak (zgrubsza, oczywiście) pojmowanej rzeczywistości uznał Peiper (bo on to był — przynajmniej początkowo — czołowym teoretykiem grupy) metaforę. Metafora — i jej dalsze pochodne jak n. p. głośny układ rozkwitający Peipera — stanowi zasadniczy, ba! — integralny — element poezji pisarzy, których w dalszym ciągu nazywać będziemy tak, jak się sami ostatecznie (słusznie czy niesłusznie) ochrzcili — „awangardzistami".

Tak w bardzo (z góry się zastrzegam) uproszczonym zarysie przedstawiał się obóz „artystowski" poezji polskiej w pierwszych latach po W. Wojnie.

II.

Szybki rozwój wypadków społeczno-politycznych w Państwie wkrótce jednak zorientował wielu pisarzy, że o wyzbyciu się świadomie pojmowanych obowiązków społecznych nie może być mowy. Pojęcie służby pisarza na rzecz narodu o tyle tylko się zmodernizowało, że nabrało cech obowiązku walki społecznej o szersze cele ogólnoludzkie. Uświadomienie to przyszło, oczywiście, z lewicy ideowo-społecznej.

Około roku 1926 mamy już zatem grupę pisarzy świadomie stającą w szeregach proletariatu walczącego o przebudowę życia zbiorowego w myśl haseł socjalistycznych. Wydają oni własny miesięcznik p. t. „Dźwignia" o charakterze marksistowskim. W tej chwili obchodzi nas wyłącznie poetycka strona kwestii. Otóż wśród wymienionych pisarzy prawdziwy, pełno wartościowy talent reprezentuje Broniewski, wspaniały piewca tendencji rozwojowych miejskiego proletariatu. Jako artysta, Broniewski zbliżony jest w swej twórczości do poetów „Skamandra".

Na temat poezji proletariackiej toczyły się swego czasu w Polsce długotrwałe spory. Referowanie przebiegu tej dyskusji zajęłoby tu, niestety, zbyt wiele miejsca. Zainteresowanych odsyłamy do starych roczników czasopism literackich. Jedno tylko trzeba zaznaczyć, że postawienie sprawy poezji proletariackiej spowodowało w konsekwencji powszechniejsze zainteresowanie rolą społeczną poezji w ogóle, odwracając wielu poetów od ściśle formalistycznych kwestyj ku szerszym zagadnieniom życia.

Właśnie hasło ,poezji uspołecznionej" podjęli, czyniąc sobie z niego sztandar ideowy, młodzi poeci skupieni w okół czasopisma p. n. „Kwadryga", wydawanego w Warszawie w latach 1927—1931. Przeciwstawiając się społecznemu indyferentyzmowi swoich poprzedników — „Skamandrytów" (było to już drugie pokolenie poetów w Odrodzonej Rzplitej), powoływali się na tradycie sztuki uspołecznionej w Polsce, na takie wzory jak Norwid czy Brzozowski. Do grupy „Kwadrygi" należeli Ciesielczuk, Maliszewski, Sebyła, Szemplińska, Słobodnik i inni.

Najpoważniejszym niedociągnięciem „Kwadrygi" — jako grupy poetyckiej — było niewypracowanie własnego, ściśle poetyckiego programu i z tym poniekąd związana zbytnia zależność artystyczna od poetów „Skamandra". Cokolwiek można by jednak powiedzieć o „grupie Kwadrygi", wydaje się, że rola jej nie została należycie oceniona. Trudno mi szerzej rozważać tu tę kwestię ze względów osobistych, ponieważ sam uczestniczyłem w pracy tego zespołu. Tak czy inaczej, zdaje się nie ulegać wątpliwości i nikt tego naogół nie kwestionuje, że była to najpoważniejsza po „Skamandrze" grupa poetów — tradycjonalistów.

Dla dalszego uzupełnienia obrazu zachodzi konieczność stwierdzenia, że pierwsze dziesięciolecie literatury Polski Odrodzonej minęło w ogóle pod znakiem poezji i to poezji lirycznej. W tym czasie doszli do szczytu swego twórczego rozwoju poeci „Skamandra", zdobywając sobie rozgłos i pozycję niemal oficjalnej reprezentacji współczesnej poezji polskiej. Na ten sam czas również przypada okres wykrystalizowywania się programu poetów-nowatorów skupionych wokół czasopisma „Zwrotnica" i jego dalszej jakgdyby kontynuacji — redagowanej przez Jalu Kurka „Linii".

Około roku 1930 fala „rozliryczenia" poczęła nieco opadać, przyczem daje się zaobserwować jakgdyby osłabienie tętna twórczego poezji a w ślad za tym i zmniejszenie się zainteresowania poezją w Polsce. Zdaje się zresztą, że zjawisko to nosi charakter ogólno-europejski. Rozważając je na szerszym tle życia społeczno-kulturalnego — sądzę, że nawet bez wielkiego trudu dałoby się uzasadnić. Pozostaje fakt, że twórczość poetów z lat późniejszych nie znajduje już takiego społecznego rezonansu jak przedtem, że działalność w dalszym ciągu powstających licznych ugrupowań poetów jest coraz uboższa w osiągnięcia. Widać z tego, że warstwy, z których współcześnie rekrutują się czytelnicy poezji, mają w tym okresie inne, ważniejsze dla nich zainteresowania i troski. Jest to przecież okres ogólno-europejskiego kryzysu, który trwa do tej chwili.

W drugim z kolei dziesięcioleciu supremację w literaturze polskiej osiąga powieść. W poezji wraz z okrzepnięciem indywidualności twórczych zarysowuje się coraz wyraźniejszy rozdział na dwa nurty artystyczne — tradycjonalistyczny i nowatorski — oraz daje się zaobserwować rozluźnianie więzów łączących dotychczasowe ugrupowania, tak charakterystyczne dla poprzedniego okresu. Pozatem zaznacza się coraz wyraźniej wzrost zainteresowań społecznych, niewątpliwie dokonywujący się pod naporem wymagań życia.

Na horyzoncie literackim ukazują się poeci jak Czuchnowski, o zdecydowanym światopoglądzie społeczno - politycznym i równie zdecydowanej postawie szermierzy przebudowy życia zbiorowego. Z tą postawą łączy się zapewne także zaznaczający się zwrot ku epice, jako rodzajowi literackiemu zbliżonemu do poezji zdolnemu ogarnąć coś więcej, prócz indywidualnych, jednostkowych przeżyć, bez szkody dla równowagi pomiędzy t. zw. treścią i formą w poezji. Jest w tym niewątpliwie i wysiłek poetów zmierzający ku utrzymaniu swego przodującego stanowiska w literaturze pięknej. Tego rodzaju utwory jak „Śmierć i powódź" Czuchnowskiego czy „Scena przy strumieniu" Szenwalda niech posłużą za przykład zjawiska.

Wpływowi atmosfery ulegają i poeci starszego pokolenia. Piewca radości życia, typowy w początkowym okresie swojej twórczości witalista, autor „Wiosny i wina" oraz „Wróbli na dachu" — Kazimierz Wierzyński pisze „Wolność tragiczną", utwór o koncepcji (nie wchodzę w jej wartość) bądź co bądź historiozoficznej.

Lirykiem pozostaje tylko do końca i jako liryk zdobywa sobie ostatecznie i chyba bezspornie pierwsze miejsce wśród współczesnych sobie poetów polskich — czarujący bałwochwalca słowa Julian Tuwim.

Po drugiej stronie poetyckiej barykady — wśród nowatorów — następuje już w pierwszych latach po W. Wojnie otrząśnięcie się z wielu dziwactw dla samych dziwactw. Milkną dość szybko futuryści (jak Młodożeniec czy Stern) przechodzą do obozu wroga, rozpraszają się formiści. Poeci dowodzeni przez Peipera (słabszego — moim skromnym zdaniem — poety niż teoretyka) przechodzą różne ewolucje wśród wieloletniej obojętności czytelników, aby wreszcie w ostatnim czasie zdobyć sobie uznanie pośród znacznego odłamu młodzieży literackiej. W międzyczasie na czoło szyku nowatorów wysuwają się poza Peiperem nowi przywódcy tzw. awangardy — Czechowicz i uprzednio już wymieniony Przyboś, obaj bardzo utalentowani. Oni to pod wpływem niektórych poetów współczesnej Francji formułują i realizują program surrealizmu. Połapanie się w subtelnościach tego kierunku na podstawie kilku zdań informacji byłoby może za trudne, dlatego ograniczymy się tu do stwierdzenia, że jedną z głównych jego tendencyj jest dążność do poezji „czystej", pozbawionej pierwiastków — zdaniem tych pisarzy — pozapoetyckich, jak fabuła itp. Poezję utożsamiają nasi ponadrealiści z liryką a twórczość poetycką z wolną grą wyobraźni.

Oczywiście, surrealiści są zdeklarowanymi przeciwnikami wyrażania w poezji jakichkolwiek tendencyj pozaartystycznych. Trudno się tu oprzeć sugestii podobieństwa programu naszych nowatorów do dość nienowych już i — zdawałoby się — przebrzmiałych haseł „sztuki dla sztuki". Nie od rzeczy będzie więc zauważyć, że hasła te najczęściej służyły społecznie reakcyjnym pisarzom za parawan dla ich niechęci do narzucających się tendencyj społeczno-rozwojowych. Być może, nowatorzy ci gotowi będą oburzyć się na takie postawienie sprawy, ale na to już niema rady.

Żeby przedstawiany tu obraz dzisiejszej poezji polskiej coraz bardziej się wypełniał, trzeba uwzględnić w nim i twórczość najstarszych poetów: Staffa, Leśmiana, Iłłakowiczówny... Najoryginalniejszy z nich niewątpliwie — zmarły niedawno Bolesław Leśmian, autor „Łąki", która wpłynęła na twórczość wielu powojennych poetów (Tuwim) wydał jeszcze za życia tom wierszy pt. „Napój cienisty", będący kontynuacją dawnej jego twórczości. Obecnie ukazało się niedawno wydanie jego pism pośmiertnych. Na współczesnych wpłynął on nie tyle jako twórca indywidualnej koncepcji metafizycznej, a raczej jako śmiały kreator oryginalnego języka poetyckiego. Szereg dzieł wydał również już w Niepodległej Polsce Staff, rozwijając dalej swoją wirtuozerię środków ekspresji. W rozwoju swoim nie wyszedł on jednak poza własne „młodopolskie" wzory. Jak już to było zaznaczone na wstępie, miał olbrzymi wpływ na ukształtowanie się charakteru poezji „Skamandra".

Przedstawiając w pobieżnym zaledwie zarysie stan poezji polskiej ostatnich lat dwudziestu, zmuszony jestem, oczywiście pomijać większość nazwisk pisarzy i ugrupowań, nie uwzględniać tytułów dzieł, bagatelizować fakty w oderwaniu od całości obrazu nawet dość ważkie. Sądzę jednak, że nawet i z takiego, zaledwie zgrubsza nakreślonego, szkicu można się zorientować w bogactwie i bujności życia poetyckiego w omawianym okresie. Chodziło mi w tym wypadku przede wszystkim i jedynie o uwypuklenie tych faktów i dążności literackich, jak ruch nowatorski, rozkwit liryzmu i kult słowa w twórczości „Skamandrytów", tendencje ideowo-społeczne i epickie, które to fakty nadają charakter epoce. Ma ta epoka zresztą wiele z cech „Sturm und Drang-Periode", coś z tygla, w którym wytapiają się przyszłe możliwości, nie dające się narazie jeszcze dokładnie przewidzieć. Poza przedstawionymi tu ugrupowaniami i dążnościami istnieje jeszcze gąszcz mniej lub więcej ciekawych grup (jak „autentyści") i twórców, z których każdy jest w mniejszym lub większym stopniu odrębną indywidualnością.

Jedno jest przynajmniej prawie pewne, że nie ujawnił się dotychczas pośród nas twórca, któryby, jak Kochanowski dla polskiego Odrodzenia, czy Mickiewicz lub Słowacki dla epoki romantyzmu, był wyrazicielem naszych czasów, piewcą nurtujących poprzez dzisiejsze nasze życie zbiorowe tendencyj rozwojowych.

Czy jednak w dzisiejszej epoce kultu dla kolektywizmu nie będzie zmuszona zastąpić go zbiorowość współczesnych poetów? Przecież, gdyby zsumować poszczególne wysiłki jednostek, to czegóż nie znajdziemy w tym zbiorowym dziele, któremu na imię współczesna poezja polska!

Niemal wszystko. I lęk o losy kultury europejskiej, tak często wyrażany poprzez nastroje katastrofizmu (Miłosz). I surmy do walki o przebudowę życia (Broniewski). I humanitaryzm i pacyfizm (Słonimski). Wołanie o sprawiedliwość społeczną i pogwałcone prawa człowieka. Żądanie oparcia życia o zasadę społecznej miłości (Wittlin). Bunt skrzywdzonych i radość przyszłych zwycięzców. Wszystko.

Nie wiem tedy, czy słusznym jest nadal traktować ten okres jako czas strojenia instrumentów poetyckich — jak chcą niektórzy — do przyszłych występów wielkiego solisty, kiedy wyraźnie słyszymy symfonię, wykonywaną przez niejednokrotnie doskonałych muzyków.

Wsłuchujmy się tylko uważnie — a może dosłyszymy w tej symfonii i zgłuszone motywy „Heroiki".

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI

Podrabiany realizm

Terminem „realizm powieściowy“ operuje się teraz w krytyce i publicystyce literackiej znacznie obficiej i hałaśliwiej, niż w czasach, kiedy ten realizm — w daleko wyższym stopniu niż dziś — był rzeczywistą rzeczywistością w królestwie literatury.

W tamtych właśnie „demoliberalnych“ czasach dziewiętnastego stulecia powieść, w Polsce i zagranicą, nie wstydziła się jeszcze stawiania problemów, wyrastających z obiektywnej rzeczywistości i szukania dla nich rozwiązań, nie bała się oskarżeń o tendencyjność i apostołowanie, za największą zasługę artystyczną i kulturalną nie uważała ucieczki od życia, grzebania się w czczej i fikcyjnej problematyce „jaźniowej“ ani gubienia elementów treściowych, przedmiotowych i rzeczywistych, w formalistycznej kazuistyce i abstrakcji.

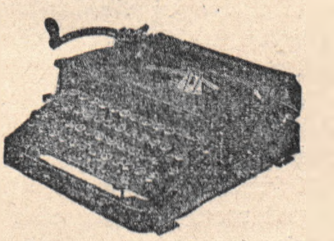
ISTOTA REALIZMU

Wyjaśniano już niejednokrotnie, że **tamten** realizm wyrastał z potrzeb i dążeń społeczeństwa prężnego i wciąż jeszcze idącego naprzód, z poglądów i postulatów teoretycznych warstw, które wówczas kroczyły na czele procesu dziejowego. Dlatego wyrażał on **ich** stosunek do rzeczywistości, opierał się na **ich** widzeniu tej rzeczywistości, formułował takie zadania, które **dla nich** z tej rzeczywistości wypływały. Rzecz jasna, że dzięki temu, nieuchronnemu obiektywnie i historycznie koniecznemu, ograniczeniu możliwości poznawczych i aspiracyj praktycznych ówczesnego realizmu, mógł on dać tylko ograniczony obraz świata ludzkiego, mógł wskazywać rozwiązania tylko połowiczne, w zasadzie dopuszczalne ze stanowiska ówczesnych warstw przodujących. Zresztą w literaturze realistycznej ub. stulecia różnice były pod tym względem olbrzymie, wynikały bowiem z różnych stadiów rozwojowych Europy a nawet tego samego kraju. W różnej rzeczywistości społeczno-politycznej i kulturalnej (a pod tym względem wiek XIX był bardzo bogaty) rodziły się różne zadania praktyczne i różne postulaty ideowe. Stąd różnorodność ideowa powieści realistycznej tamtych czasów.

Ale mimo dystansu jaki dzieli np. Stendhala od Gogola czy Orzeszkowej i Prusa, a nawet tych dwoje od Kraszewskiego; mimo różnic między problematyką i światem ludzkim „Sylwka Cmentarnika“ a „Emancypantek“ — istnieje w całym starym realizmie coś wspólnego, coś, co odróżnia go od literatury „jaźniowej“, łączy natomiast z realizmem dzisiejszych czasów. Podstawowy rys twórczości realistycznej polega mianowicie na „uznawaniu“ obiektywnej rzeczywistości za widownię życia ludzkiego, na chwytaniu i ukazywaniu wzajemnego, obukierunkowego związku między tą rzeczywistością a człowiekiem. Człowiek, który jest tu wytworem i częścią świata realnego, ze swej strony musi jednak i chce oddziaływać na ten świat w świadomie obranym kierunku, dla osiągnięcia określonych, świadomie sobie postawionych zamierzeń.

To odwrotne oddziaływanie — człowieka na rzeczywistość — ukazane jest w dawnej literaturze realistycznej bardzo różnie, zależnie od różnych — jak wyżej zaznaczono — momentów, literaturę tę warunkujących. Nie jedno w tych powieściach wyda nam się dziś naiwnym, czy nawet błędnym, bo ograniczony zasięg poznawczy nie pozwalał na głębsze i szersze oddziaływanie na rzeczywistość, niż mogły sobie na to pozwolić warstwy, w literaturze tej wyrażające swój światopogląd. Już z tego, co powiedziano, widać. że istotą wszelkiego realizmu jest czynny, a to znaczy **ideowy**, stosunek do rzeczywistości, do przedmiotu, co rzecz jasna nie ma nic wspólnego z jakimś subiektywizmem, który — o ile zechce pozostać konsekwentnym — właśnie będzie się łączył z biernością i jako najgodniejszą człowieka postawę ogłosi coś w rodzaju „splendid isolation“ w stosunku do świata obiektywnego. Realizm, zarówno stary jak współczesny (ten bez cudzysłowu), widzi w człowieku jednocześnie przedmiot i podmiot, część ogólnej rzeczywistości — ale część świadomie aktywną. Człowiek w rozumieniu realizmu ma wprawdzie do czynienia ze światem „zastanym“ (który Brzozowski daremnie usiłował uśmiercić!) — ale świat ten świadomie przekształca. I to jest właśnie treścią życia ludzkiego. Na takiej i tylko na takiej podstawie rozwija dopiero realizm problematykę psychologiczną. Doceniając w całej pełni wagę i bogactwo t. zw. życia wewnętrznego — nie dopuszcza on jednak żadnej pozaobiektywnej „autonomi“ tego życia, jak to czyni literatura „jaźniowa“. Nie negując bynajmniej swoistych praw rządzących naszą psychiką, pamięta zawsze o jej związku z obiektywną rzeczywistością, która ją koniec końców warunkuje! Świat duszy ludzkiej nie jest więc dla realizmu niepodległym królestwem, ale pewną szczególną częścią ogólnego, realnego świata przedmiotowego.

Tak widzianą rzeczywistość zewnętrzną i duchową — dwie części tego samego świata — prześwietla realizm bynajmniej nie w celach opisowych, bo nie opis lecz działanie jest zadaniem literatury, naprawdę god-

CHCESZ KUPIĆ
MASZYNĘ DO PISANIA?
OBEJRZYJ NOWE MODELE
CORONA

Generalne przedstawicielstwo na Polskę
TEOFIL GLOCER i SYN
WARSZAWA, MONIUSZKI 1A
Tel. Wydz. Sprzed. 5.02-91
Salon Demonstracyjny — Krakowskie Przedmieście 7
DOGODNE SPŁATY

nej tego miana. Współdziała ona w wytwarzaniu świadomości u ludzi, wskazuje — swoimi własnymi środkami — problemy, zadania i drogi ich realizacji. Wykonuje pracę **ideologiczną.** Stąd świadomie czynny stosunek twórcy, autora nie tylko do tematu, ale i do materiału. Powieść realistyczna nie fotografuje. Dąży ona do celowej, ideowo uwarunkowanej, selekcji i organizacji elementów rzeczywistości. Tu właśnie leży podstawowa różnica między realizmem a naturalizmem w **najszerszym** tego słowa rozumieniu. Jeżeli realizm, zarówno ideowo jak metodologicznie, wyraża świadomą, ofensywną aktywność wobec świata, naturalizm zakłada postawę biernej, choćby nie wiadomo jak sumiennej i drobiazgowej, obserwacji. Może sobie naturalista w pocie czoła wędrować po suterenach i poddaszach, zwiedzać huty i folwarki, porty i kopalnie — poza drzewami nie dostrzeże lasu, jak mówi niemieckie przysłowie*). Realista wydobędzie i ukaże istotę rzeczy, sens rzeczywistości, kierunek jej rozwoju, bo odróżni momenty zasadnicze od wtórnych i przypadkowych.

FIKCJE I FAŁSZE „NOWEGO" REALIZMU.

Wyłączone z obiektywnej rzeczywistości, jako udzielne królestwo duszy ludzkiej, stało się życie psychiczne przedmiotem t. zw. nowego realizmu, w którym jego przedstawiciele i entuzjaści każą nam widzieć prawdziwy realizm psychologiczny. „Prawdziwość" ta polega na rzekomo najwnikliwszym wejrzeniu w nasze wnętrze, w którym dzieją się rzeczy... z nieprawdziwego zdarzenia. Ukazane przez „nowy realizm" życie psychiczne jednostki nie tylko wymyka się z pod wszelkiej racjonalnej analizy i charakterystyki, nie tylko płynie sobie poza światem zjawisk własnym, bergsonowskim „potokiem" mistycznym, ale dziwnie różni się od tego rzeczywistego życia psychicznego, które znamy z doświadczenia. Pozornie konkretna, hiperkonkretna psychologia „nowego realizmu" jest mniej konkretna, niż psychologia najbardziej sentymentalnych powieści XVIII stulecia, najbardziej awanturniczych i fantastycznych romansów z przed lat dwustu i więcej! Jest to psychologia nierzeczywista, nieprawdziwa.

Jeżeli już samo wyłączenie życia psychicznego ze świata zjawisk daje z konieczności jednostronny, a przez to fałszywy i w najwyższym stopniu fikcyjny obraz duszy ludzkiej, przeżyć wewnętrznych człowieka — to przedstawiciele nowego „realizmu" bynajmniej na tym nie poprzestali. Poddawszy się — świadomie lub nieświadomie — inspiracjom „realistycznej" psychologii bergsonowskiej, według jej wskazań umeblowali „wnętrze" swych bohaterów. Szeregi zjawisk, które zachodzą w psychice figur, jaźniujących i wywnętrzających się na kartach tego typu powieści, stanowią — jak łatwo stwierdzić — odcinki „odkrytego" przez Bergsona mistycznego „potoku życiowego", przepływającego przez nas jako wieczysty, ciągły i prawdziwie ponoć konkretny prąd witalny. Ta fikcyjna, oparta na grubej i łatwej do zdemaskowania mistyfikacji, irracjonalna i dająca się tylko intuicyjnie uchwycić, mistyka wnętrza ludzkiego, została przez francuskiego „filozofa" proklamowana jako jedyna konkretność w przeciwieństwie do tego, co „konwencjonalne" poznanie dotychczasowej „racjonalistycznej" filozofii i nauki ukazywało nam jako rzeczywistość, a co jest naturalnie fałszem.

W ten sposób psychika, już nie tylko izolowana w udzielnym królestwie, ale pojęta jako jedynie rzeczywista i prawdziwa konkretność, żyje własnym, suwerennym życiem, z którego w tajemniczy i rozumowo niewytłumaczalny sposób wynurza się to wszystko, co my w swej naiwności uważamy za świat obiektywny, zewnętrzny, przez nas „zastany". Na takiej podstawie filozoficznej opiera się t. zw. nowy realizm powieściowy. Dzieje wewnętrzne rozjaźniowanych osobników stają się dla tej literatury jedyną konkretną, godną zainteresowania i analizy rzeczywistością. Uwolniona z fikcyjnych, bo „racjonalistycznych" więzów nieciekawego i wzgardzonego świata zewnętrznego, psychika zagrzebuje się we własnych przepastnych głębiach, myszkuje w labiryntach i zakamarkach suwerennego wnętrza ludzkiego, kontempluje i ogląda się ze wszystkich możliwych i niemożliwych stron, stenografuje skrupulatnie wszystkie tajemne sygnały drogocennej duszy jaźniującego „bohatera", jak czuły sejsmograf notuje irracjonalne drgnienia wysubtelnionej przepony pięknoducha czy próżniaka, by wreszcie całą tą „konkretnością" uraczyć nieszczęsnego czytelnika.

Nieświadome, półświadome, ćwierćświadome, podświadome — triumfuje. Życie psychiczne składa się ponoć z tych różnych, przeważnie nieskończenie małych ułamków świadomości, graniczących z podświadomością, która — jak nas ostatnio zapewniają — stanowi istotną, jedynie konkretną (oczywiście!) sprężynę naszego postępowania. I dlatego literaturę, która nas w to wszystko wtajemnicza, zalecają nam jako „nowy" realizm! Freudyzm, który tej twórczości dostarczył tylu nieocenionych inspiracyj, jest już tylko szczególnym przypadkiem „nowej" psychologii pseudorealistycznej. Odpowiada on zresztą najlepiej „naukowym" potrzebom, teoretycznym postulatom środowisk zdemoralizowanych i uchylających się od obowiązku przekształcania rzeczywistości! Seksualia jako **motory** działalności ludzkiej (jeżeli można to w ogóle nazwać działalnością), jako metafizyka i filozofia życiowa, jako źródło moralności i jako prawda artystyczna — toż to wymarzona ideologia zbuntowanego (w kawiarni) snoba!

Przyszły takie czasy, że świadomość, rozum, naukę, ideały etyczne i humanitarne, okrzyczano jako przestarzałe rekwizyty gasnącego świata. Komuś na tym zależy. Komuś zależy na tym, by „szary" człowiek, masowy konsument literatury powieściowej, nie orientował się w rzeczywistości, by jej nie dostrzegał, by utracił potrzebę jej widzenia, by się od niej odwrócił i głęboko, jaknajgłębiej dał nura we własną, jedynie godną uwagi, bo jedynie rzeczywistą i konkretną, jaźń. To ma być **nowy** realizm! W mojej własnej klatce piersiowej jest świat po stokroć bogatszy, barwniejszy i cenniejszy, niż na zewnątrz. A jeżeli nawet raczę już uznać to „na zewnątrz" jako coś rzeczywistego, choć wtórnego i pośledniego, to czyż stosunek mój do niego nie kształtuje się tylko seksualnie, erotycznie?

Ta pseudorealistyczna, w znacznym stopniu (choć nie zawsze) seksualistyczna psychologia i metafizyka, to apoteozowanie izolowanej i fikcyjnej „jaźni" — nie zawsze prowadzi aż do takich zwyrodnień i skrajności, w których czcza gadanina „nowego" realizmu przecho-

*) Jak łatwo zauważyć, charakterystyka ta nie odnosi się do klasyka naturalizmu, Zoli, który był pisarzem głęboko ideowym i humanitarnym. Chodzi tu o sposób ujmowania rzeczywistości, o metodę poznawczo-literacką, stosowaną dziś w powieści typu reportażowego, autentystycznego i t. p., której przedstawiciele i rzecznicy nawiązują do tradycyj naturalizmu.

dzi już w bezmyślny bełkot, w sztuczny i naciągany infantylizm, w groteskową deformację rzeczywistości (także psychicznej!), co w sumie najlepiej dogadza zblazowanym snobom, młodocianym oportunistom życiowym, dwudziestopięcioletnim cynikom kawiarnianym. Nie jest jednak rzeczą przypadku, że dopiero na gruncie „nowego“ realizmu mogły powstać i zdobyć poklask utwory takie, jak „Sanatorium pod klepsydrą“, „Ferdydurke“ i t. p. Że mdła galareta pod obiecującym tytułem „Młodość Jasia Kunefała“ zdobywa nagrodę PAL. Że babranie się w seksualiach bronione jest jako chwalebny przejaw odwagi rewolucyjnej! Zapewne, ferdydurkizm, kunefalizm i anarcho-seksualizm, to tylko najskrajniejsze, najbardziej wynaturzone i najmniej poważne produkty, ale jednak produkty „nowego“ realizmu. Nic dziwnego, że „rewolucyjność“ ich znajduje ciepłe uznanie na łamach warszawskiego dziennika konserwatywnego...

MICHAŁ JORDAN

NAJNOWSZE KSIĄŻKI

Jan Parandowski: „Trzy znaki zodjaku“. Warszawa 1938. Tow. Wydawnicze „Rój“.

„W naturze ludzkiej leży ciekawość, by wiedzieć, jak żyły wieki ubiegłe, w czym były do nas podobne, a w czym różne. Człowiek, poza tym, co go zaprząta w życiu codziennym, ma dwa spojrzenia: jedno w przyszłość — drugie w przeszłość. Tą dziwną i szeroką miłością trzyma się ludzkość: miłością tych, co są, tych co będą i tych co odeszli“. — Oto credo pisarza, który swą twórczością buduje nieustannie w umyśle czytelnika pomost łączący wieki zamierzchłe i teraźniejszości. Przy pomocy swej wielkiej kultury, intuicji artystycznej i inteligencji kroczy Parandowski, jak cierpliwy archeolog po jej zaledwie dostrzegalnych śladach w przeszłość. Tchnieniem swego artyzmu ożywia ją, zaludnia, zbliża na odległość, z której widzimy czasy umarłe tak jakgdybyśmy je sami przeżywali. Widzimy ich kręty, zawiły bieg, odrzuciwszy ich pulsujące tętno istnienia. W takich opowiadaniach, jak „Wieniec olimpijski“, „Modlitwa Arystydesa“, „Wesele greckie“, „Mały Kopernik“ wchodzimy w sam środek tamtych zwyczajów w centrum życia ówczesnych inteligencyj, dworów królewskich i biedoty.

Autor zapomocą najprostszych środków, z najbardziej zwykłych zdarzeń i przeżyć umie wypuklić to, co ilustruje jego głęboką myśl. Bo tylko ona zarówno jak duch i idea są nieśmiertelne. Cóż znaczą największe potęgi, najbardziej burzycielskie plany Aleksandra i Ptolomeuszów. Rozpadną się one w proch, rozsypią w nicość, podczas gdy imiona: Eratostenesa, uzasadniającego w swej samotnej bibliotece, w chwili gdy pan jego marzy o podboju Indyj, że ziemia jest kulista, odnoszącego większe zwycięstwa nad strofą łacińską, niż w bitwach Horacego, budującego wspaniałe okresy Cycerona, patrzącego przez trąbkę z papieru na niebo małego Kopernika, te imiona nic nie znaczące w opinii ich współczesności, miały zabłysnąć prawdziwym tryumfem i zwycięstwem w wiekach przyszłych.

Parandowski jest nie tylko intelektualistą, jak chcą niektórzy krytycy. Natchnienie jego przybiera kształty nawskroś twórcze, olśniewając najszczerszym artyzmem w pomysłach, kompozycji i w każdym niemal opowiadaniu w szczególnie pięknej poincie.

Nie cały tom trzyma się na tym wysokim poziomie. Są w nim nie wyróżniające się niczym, poza swą poprawnością literacką zwyczajne historyjki jak: „Z dworu Zygmunta Augusta“, „Koniec teatru pod kulą ziemską“, Poczajów.

Tam jednak gdzie Parandowski ukazuje się nam jako rozmiłowany w kulturze rzymskiej i helleńskiej artysta, jest świetny. Wtedy umie wybierać z przeszłości jej najcenniejsze klejnoty. Szlifuje je i cyzeluje, aż zamigocą najpiękniejszymi barwami jego słowa i stylu.

WŁADYSŁAW ROMANOWSKI

„EPOKA“ nie jest pismem przypadkowym ani koniunkturalnym. „EPOKA“ kontynuuje tradycję, zapoczątkowaną przez wspaniałe ogniska kultury i myśli polskiej, postępu i wolności — przez: „GŁOS“, „PRAWDĘ“, „OGNIWO“, „SPOŁECZEŃSTWO“. „EPOKA“ pod inną wprawdzie nazwą, ale pod tym samym sztandarem trwa na szańcu Demokracji i Niepodległości.

Antysemityzm - piętno Berlinternu

Litwa przeżywa ciężkie dni. W okręgu kłajpedzkim agentury potężnego sąsiada jawnie sięgają po władzę, głoszą jawnie oderwanie od dotychczasowego suwerena. Nad granicą litewską koncentrują się groźnie zmotoryzowane pułki niemieckie. Pod osłoną brunatnych bojówek rozwija w Kłajpedzie swą działalność wypędek Waldemaras, jawny agent Wilhelmstrasse. Pod osłoną tych, co gotują zabór litewskiej ziemi, za pieniądze okupantów wydaje on swe pisemka i ulotki. A wiecie, co w nich głosi? Walkę o oczyszczenie Litwy od Żydów. Wiecie, do czego waldemarasowcy nawołują młodzież litewską w chwili, gdy pożar bucha już u granic państwa? Do walki o numerus nullus dla Żydów na wyższych uczelniach litewskich.

Ciężką, wstrząsającą tragedię przeżywają narody słowacki i czeski. Pod naciskiem przemocy, opuszczona przez większość przyjaciół, podżarta wewnątrz intrygami reakcyjnych klik i obcych agentur, skapitulowała Republika Czechosłowacka. Jej ziemie uległy podziałowi. Na Zamku w Hradczynie rządzą ci właśnie, którzy swymi intrygami doprowadzili kraj do upadku. I kogo wskazuje narodowi czeskiemu jako wroga p. Beran, ten sam, który osłabił i poderwał siłę Czechosłowacji wobec wroga zewnętrznego? Oczywiście, emigrantów żydowskich z Sudetów. Do walki z kim mobilizują swe siły „nacjonaliści" z Hlinkowej Grady, których jedyną „zasługą" wobec narodu było wydanie Koszyc Madziarom i otoczenie Bratysławy posterunkami niemieckich celników? Oczywiście do walki z Żydami...

Czy trzeba wyraźniejszej ilustracji dla twierdze-

nia, które dziś trzeba powtarzać ciągle, bez przerwy, bez wytchnienia: w dzisiejszej sytuacji międzynarodowej, na przełomie lat 1938 i 1939, tuż po szturmie do „bastionu czechosłowackiego" i tuż przed nowym szturmem na, nieznany jeszcze w tej chwili, nowy objekt „Furor Teutonicus", akcja antysemicka, to nie tylko przejaw reakcji politycznej, nie tylko symptomat tendencji faszystowskich i totalistycznych, to przede wszystkim przejaw ekspansji imperializmu niemieckiego, przejaw akcji Berlinternu.

Napisaliśmy wyraźnie: Berlinternu. Bo uważamy za niezupełnie ścisłe, niezupełnie oddające istotę rzeczy popularne w kołach demokratycznych określenie „Faszintern". Słowo to nasuwa myśl o jakiejś międzynarodowej współpracy samodzielnych, ożywionych własną ideologią ruchów faszystowskich całego świata. I to jest oczywisty paradoks, jeśli wziąć ultra - nacjonalistyczną, wrogą wszelkiemu internacjonalizmowi, terminologię tych kierunków. Ale paradoks ten nie wyraża bynajmniej rzeczywistości. Nie ma bowiem współpracy ruchów faszystowskich świata. Istnieją tylko na całym świecie, a w krajach Europy Środkowej i Wschodniej przede wszystkim agentury berlińskiego imperializmu. Agentury, posługujące się różnymi językami, używające różnych symboli, czasem nawet różnych „terminów technicznych", niewątpliwie. Ale agentury jedną kierowane ręką: ręką niemieckiego imperializmu, jednemu służące panu: berlińskiej dyktaturze. Ten właśnie stan rzeczy odzwierciadla najlepiej słowo „Berlintern". Możnaby przetłumaczyć na polski: Międzynarodówka Berlińska, Międzynarodówka czeladzi brunatnego Berlina.

Nie chcemy być źle zrozumiani. Nie uważamy bynajmniej, że każdy zwolennik antysemityzmu, że każdy nawet czołowy działacz akcji antysemickiej, jest płatnym, czy honorowym, świadomym agentem Berlina. Wiemy doskonale, że wielu z pośród tych, którzy ulegli tej reakcyjnej psychozie, jest dalekich od wszelkiego kontaktu z agentami Berlina. Chodzi o coś innego: o fakt, że antysemityzm jest w tej chwili najpotężniejszym instrumentem werbunkowym tych agentów. O to, że antysemityzm zaślepia ich politycznie, że zaćmiewa ich zmysł dla oczywistych bijących w oczy powiązań politycznych. Że zakrywa brunatne niebezpieczeństwo nawet przed tymi, co po swej przeszłości politycznej powinni być szczególnie wrażliwi na Drang nach Osten. Czyż trzeba tu przypominać chociażby zdumiewającą wprost ewolucję endecji, która z ostro antyniemieckiego stanowiska potrafiła w ciągu kilku lat wylądować na pozycji radosnego oklaskiwania każdego pociągnięcia Berlina? Chodzi o to, że ruch faszystowski, w Europie i poza Europą, właśnie dzięki tej zbieżności ideowej, jest z łatwością opanowywany przez zwykłych już agentów polityki niemieckiej, kierujących, młodych przeważnie, adeptów „nowoczesnego nacjonalizmu" na wierną służbę Wielkich Niemiec.

Tak samo, jak adepci ruchów faszystowskich Azji kierowani są w praktyce na służbę „Wielkiej Japonii", a zwolennicy faszyzmu wśród Arabów Północnej Afryki na służbę „Wielkich Włoch".

Powiedzą nam: w każdym z krajów europejskich istnieje dawna, przedhitlerowska, o starych, zakorzenionych tradycjach reakcja. Reakcja wielokrotnie o oddawna antysemickim obliczu. Uproszczeniem i obelgą dla tej starej reakcji jest mianowanie jej w czambuł agenturą berlińską. Jest w tej odpowiedzi niewątpliwie sporo słuszności. Stara endecja np. może się chlubić, że głosiła już bojowy antysemityzm i układała coś w rodzaju projektów ustaw norymberskich w czasie, kiedy ktoś we Wiedniu dopiero zbierał pierwsze elementy „światopoglądu", który za parę lat dziesiątek miał zatriumfować w ojczyźnie Goethego, Hegla i Leibniza.

Ale odpowiedź ta pomija fakt jeden, fakt podstawowy: że w chwili obecnej Berlin przejął w swe ręce hegemonię światowej reakcji. To Berlin dyktuje Mussoliniemu ustawy antyżydowskie i zatarg z Watykanem, to Berlin zakazuje w państwie „obrońcy katolicyzmu", generała Franco, odczytywania encyklik papieskich, to Berlin jest Mekką współczesnej reakcji. A sztandarem Berlina jest antysemityzm. Symbolem Berlina są ustawy norymberskie. Stąd jego agentury nawet w dalekiej Norwegii, gdzie, zdaje się, przypada coś koło jednego Żyda na tysiąc mieszkańców, odkrywają nagle „żydowskie niebezpieczeństwo", stąd w Brazylii, klasycznym kraju mieszaniny ras, „integraliści" najemnicy niemieckiego poselstwa zaczynają głosić obronę brazylijskiej rasy. Hegemonia Berlina wyciska swe piętno na światowej reakcji.

Stopień zależności od Berlina, stopień nasilenia akcji berlińskiej w poszczególnych krajach da się stwierdzić, jak na barometrze, według nasilenia antysemityzmu w danym kraju. W takiej Słowacji np., gdzie odrazu władzę uchwycili w swe ręce, bezpośredni, sidorowego typu stypendyści p. Goebbelsa, gdzie w rządzie zasiada członek stronnictwa rządzącego Trzecią Rzeszą, Gauleiter Karmasin, mamy już coś w rodzaju regularnych pogromów, wykonywanych przez bojówki rządzącej partii faszystowskiej, Hlinkowe Gardy. W Czechach właściwych, gdzie zakorzenione głęboko w masach tradycje demokratyczne przeciwstawiają się choćby w formie biernego oporu, hitlerowsko-ugodowej klice p. Berana, mamy dopiero „etap wstępny": kampanię prasową, uchwały rządowych organizacji młodzieżowych, nagonkę na „emigrantów", deklarację ogólne, skwapliwie rozgłaszane przez „Berliner Tageblatt". Na Węgrzech oba te etapy nastąpiły szybko jeden po drugim. Kiedy feudałowie węgierscy chcieli tylko oprzeć się o oś, ale mimo to zachować nadal własne oblicze, uchwalili „pro captanda benevolentia", dla uzyskania łaski Berlina ustawy antyżydowskie ostrożnego typu, ustawy bez paragrafów o charakterze rasistowskim. Miały one wchodzić w życie bardzo powoli i stopniowo, zachowując wiele furtek do ominięcia i nawet anulowania istotnych ograniczeń. Z chwilą jednak, gdy po ostatniej wizycie Ciano, Węgry zrezygnowały z wszelkich własnych aspiracji i podporządkowały się jaknajdokładniej woli Berlina, od razu przyjęły miejsce wydzielone im przez kierownictwo Berlinternu, a premier Imredy wniósł bezpośrednio ustawy antyżydowskie nowego typu, rasistowskie, nieprzejednane, które szybko i gwałtownie mają być wprowadzone w życie. Przykład węgierski ilustruje najlepiej, jak antysemityzm staje się synonimem kapitulacji przed Berlinem, synonimem zgody na zaliczenie danego kraju w poczet berlińskich wasalów.

Wymierają starzy, „umiarkowani", reakcjoniści We własnych szeregach ściga ich, zaczerpnięty z berlińskich źródeł, zarzut „demoliberalizmu". Giną ich specyficzne, lokalne właściwości. Stapiają się w tyglu Berlinternu. Gdzie są dzisiaj profesorowie endeccy,

stara gwardia naszej reakcji? Smętnie kiwają głowami nad młodym pokoleniem Giertychów i Kowalskich, wiernych naśladowców berlińskich metod. A tuż za Giertychami podążają inni, kopiujący ze swastyki swój znak ręki z mieczem.

Tak jest, Berlin rządzi dzisiaj światowym prądem faszystowskim. Kto służy temu prądowi — a antysemityzm jest wszak tego prądu najjaskrawszym przejawem — pracuje „pour le roi de Prusse", czy też, „pour le Führer de la Grande Allemagne", co chyba nie stanowi zbyt wielkiej różnicy. Tego faktu nie zmienią żadne, czasami szczere, czasami obłudne zaprzeczenia. Po ich czynach poznacie ich! Po czynach trzeba też sądzić bojowników „unarodowienia Rumunii", „unarodowienia Słowacji", „unarodowienia Węgier", czy „unarodowienia Czech".

Czyż nie jednako podnoszą oni dłonie w hitlerowskim pozdrowieniu? Czyż nie naśladują, przynajmniej w zarysach, świętej swastyki Wielkiego Adolfa? Czyż każde jego zwycięstwo nie napełnia ich wszystkich radosnym wzruszeniem, choćby narażało na szwank najoczywistsze interesy ich własnego narodu? Czyż nie klaszczą brawo, kiedy jeszcze jeden wolny naród pada w jarzmo niemieckiej niewoli i, naodwrót, pienią się ze złości, kiedy gdzieś, godni jego współzawodnicy, zamordują po swojemu, po faszystowsku, któregoś z odbiorców brunatnych srebrników? A hasłem ich i zawołaniem, taką nieomylną pieczątką „Made in Germany" stało się zawołanie: „Bij Żyda!". Zawołanie, podnoszone we wszystkich językach świata, głoszone we wszystkich zakątkach kuli ziemskiej. Ale podnoszące się — rzecz charakterystyczna! — ze szczególną mocą tam gdzie Trzecia Rzesza szuka takiego czy innego żeru. Na Litwie, gdzie skoncentrowane nad granicą pruskie dywizje mają dokonać ostatecznego poddania kraju niemieckiej hegemonii. W Czechosłowacji, gdzie trzeba umocnić zyskane w Monachium pozycje. We Francji i Anglii, gdzie trzeba zatruć ducha narodowego, sparaliżować wolę obrony narodowych pozycji. W Ameryce Południowej, gdzie trzeba zdobyć rynki zbytu dla towarów niemieckich, których brak cierpi równocześnie niemiecki lud. W Rumunii, której nafta tak ważna jest dla floty lotniczej feldmarszałka Goeringa. Czyż trzeba wyliczać dalej?

Tak się jakoś zdarza, że w chwili, gdy na południe i na północ od granic Rzeczypospolitej dudnią germańskie tanki, w stolicy Polski rozpoczyna nową agitację pewien duchowny, uczczony przez propagandystów Trzeciej Rzeszy mianem „wackerer Prälat" i pewien poseł o prasłowiańskim nazwisku, wsławiony wiadomym, sprzecznym z konstytucją, projektem ustaw wyjątkowych.

Caveant consules...

ROMAN LANG.

Sprawa kultury

W Warszawie przy ulicy Mokotowskiej istnieje od lat z górą czterdziestu Wyższa Szkoła Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. H. Wawelberga i S. Rotwanda — od roku 1919 będąca uczelnią państwową.

Ufundowana przez żydowską rodzinę Wawelbergów, która w r. 1892 ofiarowała na ten cel sto tysięcy rubli, szkoła ta położyła olbrzymie zasługi na polu rozwoju przemysłu polskiego, kształcąc w ciągu dziesięcioleci liczne zastępy znakomitych fachowców, którzy stali się pionierami industrializacji naszego kraju. Jednocześnie była jednym z najpoważniejszych ośrodków niepodległościowego ruchu młodzieży. Właśnie wawelberczycy pierwsi rozpoczęli antyrosyjski strajk szkolny w r. 1905, który prowadzili przez półtora roku. Oczywiście przez cały ten długi, pełen zasług, okres swego istnienia szkoła nigdy nie czyniła żadnych różnic narodowościowych ani wyznaniowych między swymi słuchaczami, zgodnie z potępionym dziś duchem „demo-liberalizmu".

W roku 1919 nastąpiło upaństwowienie szkoły. Kurator fundacji, p. Michał Wawelberg proponował zamieszczenie w akcie upaństwowienia klauzuli o całkowitym równouprawnieniu i równym traktowaniu wszystkich słuchaczów bez względu na narodowość i wyznanie. Ministerstwo W.R. i O.P. uznało jednak klauzulę taką za zupełnie zbyteczną. Oto motywy stanowiska rządowego w tej sprawie, wyłuszczone w piśmie ówczesnego ministra Łukasiewicza do p. M. Wawelberga:

„Uprawnienie wyznań w instytucjach państwowych stanowi konieczność dziejową i jest w nowym Państwie Polskim rzeczą tak oczywistą, że specjalne warowanie w ustawie szkolnej byłoby wprost w obecnych warunkach rażące. Z takiego specjalnego zawarowania wynikałoby domniemanie, iż w ogóle w szkołach publicznych równouprawnienie nie panuje i że gdy nie ma osobnego zastrzeżenia, wówczas od Władzy Szkolnej zamknięcie drzwi dla wyznawców tej lub innej religii zależeć może".

Wobec takiego stanowiska akt upaństwowienia pozostał bez klauzuli o równouprawnieniu. Kurator fundacji uznał argumenty ministra W.R. i O.P. Natomiast zabezpieczone zostało równe traktowanie wszystkich słuchaczów w umowie ministerstwa ze spadkobiercami Wawelberga i Rotwanda o bezpłatnym użytkowaniu budynków szkolnych i pomocy naukowych.

Ale minęły czasy „demo-liberalizmu". Także na Mokotowskiej powiał „nowy" duch. W murach założonej przez Żydów uczelni pojawiły się pierwsze wystąpienia antyżydowskie. Pierwszy dokument w tej sprawie pochodzi z czerwca 1929: Min. W.R. i O.P. zawiadamia p. M. Wawelberga, że „Dyrekcji Państwowej Wyższej Szkoły Budowy Maszyn i Elektrotechniki im. H. Wawelberga i S. Rotwanda została zwrócona uwaga na bezwarunkową konieczność jednakowego traktowania wszystkich słuchaczów Szkoły bez różnicy wyznań".

W roku 1932 endecja wznowiła na terenie całego kraju akcję przeciwżydowską, organizując ją na nowych, hitlerowskich podstawach. Dwa dokumenty z tego właśnie roku ilustrują dzieje roboty faszystowskiej w szkole Wawelberga i Rotwanda. W piśmie z 22.IV.1932 Min. W.R. i O.P. zapewnia kuratora, że „zastosuje wszelkie możliwe środki ku zapewnieniu poprawnego współżycia słuchaczów różnych narodowości, co zresztą zawsze leżało w intencjach Ministerstwa w stosunku do wszystkich szkół Rzeczypospolitej Polskiej". Pismo to było odpowiedzią na memoriał p. Wawelberga, spowodowany coraz smutniejszym położeniem studentów-Żydów w murach uczelni. Już w miesiąc później, 25.V tegoż roku, ówczesny Dyrektor Szkoły inż. Zakrzewski zmuszony jest oświadczyć, że „wszelkie zajścia antyżydowskie na terenie Szkoły czy to indywidualne czy zbiorowe jako niezgodne

z obowiązującymi przepisami będą surowo karane z całą stanowczością".

W rok po powyższej zapowiedzi inż. Zakrzewskiego — w Berlinie doszedł do władzy Adolf Hitler. W całej Europie i w Polsce wzmogła się ofensywa faszyzmu. Fala antysemicka popłynęła przez szkoły wyższe na terenie Rzeczypospolitej. Do wyścigu ze starą endecją stanęły żywioły oenerowsko-sanacyjne, niejednokrotnie wysuwając się na czoło hitlerowskiej akcji przeciwżydowskiej. W szkole Wawelberga i Rotwanda ster „ruchu" przeszedł w ręce spokrewnionych ideowo i organizacyjnie ugrupowań faszystowskich: oenerowskiej „Falangi" i ozonowego Związku Młodej Polski. Powstała sprawa ghetta ławkowego. Upokorzenie młodzieży żydowskiej, sponiewieranie jej ludzkiej godności ma być pierwszym krokiem do jej całkowitego usunięcia z murów uczelni. Przebieg tej kampanii i towarzyszące jej tchórzowskie znęcanie się dzielnych „narodowców" nad bezbronną mniejszością swych kolegów, są dostatecznie znane z prasy codziennej. Wiadomo, że — jak i na innych wyższych uczelniach — władze Szkoły poszły całkowicie na rękę faszystowskim bojówkom, wprowadzając oficjalnie ghetta ławkowe. Wiadomo, że wszędzie młodzież żydowska na znak protestu przeciw tym haniebnym zarządzeniom słucha wykładów stojąc.

Ale władze Szkoły Wawelberga i Rotwanda poszły jeszcze dalej. Nie poprzestały na ustanowieniu ghetta. Bo oto, gdy 12 grudnia ub. r. po dłuższym zamknięciu Szkoły wznowiono nareszcie zajęcia i studenci Żydzi jak zwykle słuchali wykładów stojąc — zostali przez władze akademickie usunięci z gmachu uczelni! Ten oburzający akt bezprawia nie zadowolił jednak faszystów oenerowo-ozonowych, których rozkazy Rada Ogólna Szkoły posłusznie wypełnia. 13 grudnia ub. r. ukazało się obwieszczenie Rady Ogólnej, mocą którego wszyscy studenci Żydzi zostają zawieszeni do chwili podpisania przez nich zobowiązania, że zajmą wyznaczone im miejsca ghettowe!

W odpowiedzi na to hitlerowskie zarządzenie studenci Żydzi uchwalili następującą rezolucję:

„My, studenci-Żydzi P.W.S.B.M. im. Wawelberga i Rotwanda, w obliczu nowego zarządzenia Rady, usiłującego wepchnąć nas do „ghetta", jesteśmy zdecydowani „ławek ghettowych" nie zajmować. Zdając sobie sprawę ze znaczenia naszej walki dla całej społeczności akademickiej, ogółu społeczeństwa żydowskiego i demokracji polskiej, nie zrezygnujemy z naszej walki, chociaż grozi nam ona utratą roku nauki, a może nawet Uczelni. Otuchy do naszej słusznej walki dodaje nam świadomość, że nie jesteśmy odosobnieni, gdyż nasza sprawa jest sprawą ogółu akademików Żydów w Polsce i poprą nas w niej wszystkie żywioły demokracji i postępu".

To suche, zilustrowane dokumentami przedstawienie dziejów hitleryzacji jednej z najstarszych i najbardziej zasłużonych uczelni zawodowych w Polsce oskarża głośniej, niż wszelkie polemiki i dyskusje z rzecznikami antysemityzmu, lub z tymi, którzy go lekceważą albo nawet... wstydzą się jawnie i odważnie go zwalczać. W chwili, gdy naczelny organ młodego Ozonu pisze otwarcie, że „niemieckie metody likwidowania zagadnienia żydowskiego są celowe i słuszne" — każdy akt antysemicki a tymbardziej dokonany z pogwałceniem prawa przez władze akademickie musi być uznany jako przejaw już nie tylko ideowej ale wprost politycznej hitleryzacji życia polskiego!

I dlatego zgadzamy się całkowicie z rezolucją studentów Żydów, którzy stwierdzają, że walka ich jest sprawą całej demokracji polskiej. Jest ona sprawą kultury polskiej, sprawą narodowej i ludzkiej godności każdego, świadomego i nie zapatrzonego w obce, berlińskie wzory, obywatela Rzeczypospolitej.

Ameryka Roosevelta i losy Europy

„Prezydent Stanów Zjedn. ma widocznie ambicję prowadzenia swego kraju śladami Woodrow Wilsona". (Völkischer Beobachter: „Śladami Wilsona").

Układ monachijski jest punktem zwrotnym w historii powojennej Europy. Przewagę militarną na starym kontynencie uzyskały bezspornie państwa osi. W Europie środkowej występują one jako wyłączni arbitrzy w zatargach pstrej mozaiki narodowościowej „suwerennych" państw i państewek.

W perspektywie sojusz anglo-francuski przeciwstawia się prawie że całej Europie, która coraz szybciej dostaje się w orbitę wpływów Berlina i Rzymu. O dalszym rozwoju wypadków politycznych w Europie zadecyduje jednakże postawa obu wielkich outsiderów geopolitycznych — USA i ZSRR. Niewątpliwie pozycję kluczową zajmują Stany Zjednoczone, kraj reprezentujący 45% przemysłu światowego i 55% światowego zapasu złota.

Ku nim z rosnącym gniewem i niepokojem spoglądają totalistyczni władcy Berlina i Rzymu, kierownicy wojennej osi napastniczej.

Niemałą rolę w stworzeniu takiego właśnie stanu rzeczy odegrał prezydent Stanów Zjednoczonych, Franklin Delano Roosevelt. Po długim szeregu miernot, jest on na stanowisku prezydenckim ,pierwszą wybitną indywidualnością. Daleki krewny Teodora Roosevelta, prezydenta z pierwszego dziesiątka lat naszego stulecia, rozsławionego walką przeciw trustom, Holender po ojcu, Flamandczyk po matce, jest Roosevelt dobrym anglosaksońskim dżentelmenem, wychowanym w dostatnim burżuazyjnym domu. Ojciec jego po udanych operacjach finansowych usunął się na wieś do majątku rodzinnego Hyde Park w dolinie Hudsonu. W posiadłości tej spędził Franklin młodość. Prawnicze studia uniwersyteckie odbywa najpierw w Harvardzie, jednym z najbardziej ekskluzywnych uniwersytetów purytańskich, a następnie w Columbii, gdzie styka się z radykalizmem intelektualistów tego międzynarodowego tygla, jakim jest New York. Po ukończeniu studiów zostaje adwokatem. I odtąd rozpoczyna gładko wymoszczoną karierę biurokratyczną, która zaprowadziła go do Białego Domu.

W 1912 r. demokraci wystawiają jego kandydaturę do senatu nowoyorskiego stanu. Roosevelt bije kandydata republikanów, który dotąd władał okręgiem. Na

kongresie demokratów w 1914 r. należał do tych, którzy wysuwali Wilsona, wziął przeto później udział w jego nadspodziewanym triumfie. Ofiarowano mu tekę ministerialną — został podsekretarzem stanu w ministerstwie marynarki. Na tym stanowisku pozostaje do 1920 r. Jego zwierzchnikiem był Daniels, doskonały dziennikarz z Południa, ale nie wielki znawca spraw żeglugi. Przy nim, a raczej za niego rządził Roosevelt. Gdy Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny światowej, Roosevelt był właściwym organizatorem transportu wielkiej armii amerykańskiej na front europejski.

W roku 1920 rozpoczęła się kampania przeciw demokratom i atak na Wilsona, za wycofaniem się ze spraw europejskich i polityką izolacji. Partia demokratyczna wysunęła Roosevelta na wice-prezydenta Stanów. Cox, kandydat na prezydenta, i Roosevelt zostają w wyborach zgnieceni. W rok później dotknęło go nieszczęście; przychodzi atak paraliżu, zakończony trwałym niedowładem obu nóg.

W opinii kraju i prasy był człowiekiem politycznie skończonym. Lecz Franklin zdobył się na trudną walkę z obezwładniającą chorobą, nie tracąc kontaktu z życiem politycznym. Wyjechał do Warm Springs w Georgii, gdzie w cieplicach, ćwicząc pływaniem swe ręce i tors i pobudzając do ruchu swoje bezwładne nogi, przywrócił im stopniowo nieco życia.

Tak przezwyciężył swą chorobę. Roosevelt jest od 1921 r. kaleką, ale życie jego nie jest skrępowane przez to kalectwo. Dzięki żelaznemu pasowi i żelaznym zginającym się podporom może stać i może nawet chodzić. Jego potężna budowa ciała, duża głowa, uśmiech nie znikający z jego twarzy, wykluczają wszelką litość.

Po przegranej w wyborach o vice-prezydenturę, Roosevelt prowadzi akcję demokratów w stanie nowoyorskim. Stan ten, gdzie po miastach skupia się demokratycznie nastrojona ludność przemysłowa, wybierał demokratycznych gubernatorów. Natomiast do parlamentu stanowego wsie, gdzie żyją odosobnieni farmerzy, wybierały większość republikanów. Zręczną i uporczywą walką zdobywa Roosevelt co raz silniejszą pozycję. W 1928 roku zostaje wybrany gubernatorem nowoyorskim i powtórnie w 1930.

Lata przed 1929 przeżywały Stany Zjednoczone pod znakiem olbrzymiej fali rozwoju i rozkwitu. Przez dziesięć lat uprawiano politykę nieograniczonej ekspansji gospodarczej pod hasłem wyrównania strat wojennych. Nastąpił krach.

„Czarny czwartek" (październik 1929) na giełdzie nowo-yorskiej zapoczątkował nowy, dramatyczny, okres w życiu USA. Runął system bankowy i kredytowy, wskaźnik wytwórczości obniżył się w z 100 w 1928 do 57. Ceny produktów przemysłowych spadały, a jeszcze bardziej ceny produktów rolniczych.

W miastach bezrobotni, których z początku było parę setek tysięcy, potem 3 miliony, potem 12, a w końcu 20 milionów,wszczęli swe marsze głodowe. Farmerzy burzyli się, ponieważ wytwarzając wszystko na rynek, a nie znajdując na nim nabywcy, znaleźli się w obliczu wywłaszczenia za długi lub byli wręcz skazani na śmierć głodową. Prosperity Hoovera pokazała swą odwrotną stronę medalu.

Katastrofalne rozmiary kryzysu zaczęły zagrażać podstawom ustrojowym Stanów.

Roosevelt występuje w 1932 r. jako kandydat demokratów na prezydenta z programem aktywnej walki z kryzysem. Zrozumiał, że jedynie wielki program reform może uratować kraj przed groźnymi wstrząsami socjalnymi.

W swej książce „Looking Forward" Roosevelt, stwierdzając, że krańcowy radykalizm w okresie kryzysu niewielu znalazł zwolenników, pisze: „W dniach najgorszej nędzy miliony naszego narodu, które tak wiele ucierpiały, zachowały mimo wszystko równowagę, umiłowanie porządku i nastrój pełen nadziei. Jeżeliby się nie udało stworzyć dla nich nowych widoków i możliwości, to znaczyło by to, nietylko zupełnie zawieść ich nadzieję, ale również nie doceniać ich cierpliwości.

Próba usunięcia tego radykalizmu przez zwykłą reakcję byłaby fatalna. Byłaby wyzwaniem, prowokacją. Jedna jest tylko droga ominięcia tego niebezpieczeństwa: program odbudowy, możliwy do urzeczywistnienia".

Oczywiście „możliwy do urzeczywistnienia" był dla Roosevelta jedynie program, któryby nie naruszył podstaw kapitalizmu amerykańskiego.

Wysuwa też taki program: program wielkich reform społecznych, nie naruszający jednak podstaw kapitalizmu. Po raz pierwszy w Ameryce głosi interwencję państwa w procesy gospodarcze, w stosunki pomiędzy kapitał i pracę. Państwo powinno jego zdaniem, z dotychczasowego przysłowiowego „stróża nocnego" zamienić się w potężny regulator procesów gospodarczych i społecznych.

Roosevelt rzuca się sam w wir akcji wyborczej; zakupił pociąg do którego załadował swoją rodzinę, sekretarzy i doradców. Dociera wszędzie, do najdalszych stanów, do ognisk radykalizmu farmerskiego, do Hoovertowns — miasteczek zbudowanych z odpadków przez bezrobotnych, do olbrzymich ośrodków przemysłowych w Pensylvanii, do wielkich latyfundiów bawełnianych Południa, zamieszkałych przez miliony murzynów. Wygłasza niezliczoną ilość przemówień, odbywa nieskończoną ilość konferencyj i zebrań. Wszędzie, w swych przemówieniach i artykułach głosi swój program „No-

Lud za demokracją

Już po zamknięciu numeru nadeszły wiadomości o wielkich zwycięstwach demokracji w wyborach do rad miejskich Borysławia i Szczakowej. Oto wyniki:

BORYSŁAW: P.P.S. — 20 mandatów, Ozon — 3 mandaty, Undo — 6, Sjoniści — 11.

SZCZAKOWA: P.P.S. — 6, Wyb. Komit. Demokr. (Związ. Legionistów, Z.Z.Z., Str. Demokratyczne) — 3 Ozon — 3.

Borysław — serce Zagłębia Naftowego, Szczakowa — poważny ośrodek przemysłowy. I tu i tam demokracja z zorganizowaną klasą robotniczą na czele zadała cios totalizmowi i reakcji, skupiając pod swym sztandarem większość ludności.

wego Ładu". „New Deal" miał uratować Amerykę z obięć katastrofalnego kryzysu.

„Całe życie gospodarcze opanowane jest przez 600 koncernów, które kontrolują dwie trzecie przemysłu".— „Otwarcie mówiąc, znajdujemy się na prostej drodze do oligarchii gospodarczej, jeśli w ogóle już jej nie mamy". Roosevelt docenia więc zarówno granice cierpliwości bezrobotnych, jak i potęgę „600 koncernów". Nowy Ład miał więc być dziełem kompromisu społecznego między burzącymi się klasami nieposiadającymi a oligarchią przemysłową — w duchu doradców Roosevelta, intelektualistów z „Brain Trustu" (trustu mózgów).

W wyborach 1932 r. Roosevelt skupił druzgocącą większość 23 i ½ miln. głosów na 16 miln. Hoovera. A sytuacja stawała się w międzyczasie co raz bardziej dramatyczna. Co dzień waliły się banki, co miesiąc rosła liczba bezrobotnych jak lawina. Panika bankowa osiągnęła olbrzymie rozmiary. Kredyt, ten nerw życia przemysłowego U. S. A. groził katastrofą.

W dniu objęcia władzy — 4-go marca 1933 r. — Roosevelt zamyka wszystkie trzydzieści dwa tysiące banków Ameryki.

Sanacja systemu bankowego przez jego centralizację i gwarancję państwową to pierwszy krok, po którym nastąpiła cała powódź aktów ustawodawczych, zmierzających do opanowania paniki kryzysowej. Z początkiem lipca 1933 r. przystąpiono do akcji, zakrojonej na wielką skalę. Na czele stanął liczny sztab współpracowników. Zarządzeniom administracyjnym towarzyszyła olbrzymia propaganda prasowa i radiowa. Poza tym w ciągu kilku dni rozesłano 5 milionów wezwań pisemnych do wszystkich pracodawców amerykańskich, wzywając ich do udziału w akcji reorganizującej rynek pracy.

Zbyt dużo miejsca zajęła by szczegółowa analiza poszczególnych pociągnięć New Dealu. Były wśród nich szczęśliwe i udane, były mniej szczęśliwe, były i takie, które, choć słuszne, załamały się jednak wobec wściekłego oporu starej oligarchii finansowej. Zaznaczmy, jako ważny odcinek tej akcji, jej stronę socjalną: zatrudnienie przy robotach publicznych blisko 4 milionów ludzi, wprowadzenie ubezpieczeń społecznych i ustawodawstwa społecznego, nieznanych dotąd w Stanach Zjednoczonych.

W każdym razie Nowy Ład pozwolił Ameryce kapitalistycznej przetrwać bez wstrząsów najgroźniejszy okres kryzysu. Automatyczne procesy gospodarcze w przebiegu cyklu koniunkturalnego pozwoliły Rooseveltowi na owo „wyjście z kryzysu". W wyborach 1936 prezydent, który uratował Amerykę od kataklizmu społecznego, zostaje wybrany powtórnie największą ilością głosów w historii Stanów.

Recesja gospodarcza w 1937 r., która w Ameryce przybrała szczególnie ostre tempo i rozmiary i była niemal nawrotem kryzysu, spowodowała ponowny wzrost ingerencji Białego Domu w życie gospodarcze Z pieniędzy budżetowych, Roosevelt usiłuje łagodzić zmienne koleje koniunktury. Z wielkich planów reorganizacji gospodarki pozostały europejskie metody zastrzyków budżetowych, robót publicznych i gorączki zbrojeniowej. Obecnie sytuacja jest nieco lepsza. Od czerwca r. b. Stany Zjednoczone odrobiły ⅓ część straty poniesionej w powrotnym kryzysie 1937—38.

W tych warunkach odbyły się ostatnie wybory, które wykazały poważny wzrost głosów republikańskich. Ale byłoby zgoła nieuzasadnione przewidywać porażkę Roosevelta w wyborach prezydenckich 1940 r., do których stanie on po raz trzeci — bez precedensu w historii U. S. A. 6 lat rządów Roosevelta zdołały naruszyć jego mit w pierwszym rzędzie wśród warstw pracujących. Natomiast przemysł i banki zrozumiały, że nie sposób już wprost zwalczać New Dealu. To, co pozostało z programu Nowego Ładu, jest obecnie przynajmniej w słowach przyjmowane przez wczorajszych przeciwników prezydenta.

W dużym stopniu rozgraniczenie w życiu politycznym Stanów biegnie obecnie nie wzdłuż tradycyjnego podziału na partię demokratyczną i republikańską ale na osi zwolenników Roosevelta, którzy znajdują się w obu wielkich partiach, oraz na osi jego przeciwników. Symptomatyczna jest odezwa prezydenta przed ostatnimi wyborami, nawołująca do głosowania na kandydatów liberalnych obu stronnictw.

Czynnikiem polaryzującym jest poza Nowym Ładem — polityka zagraniczna. Zbliżające się wybory będą rozegrane w pierwszym rzędzie o to, czy Stany Zjed. winny zachować w swej polityce zagranicznej linię izolacji i nieingerencji w sprawy europejskie, zapoczątkowaną w 1920 r. po klęsce Wilsona, czy też rozpocząć okres nowego aktywizmu w Europie. Tradycyjni izolacjoniści, republikanie starej szkoły, występują z programem neutralności w walce „bloków ideologicznych", Roosevelt reprezentuje kierunek czynnej współpracy z demokracjami Europy.

„Neutrality Act", uchwalony 29 kwietnia 1937 r. przez Kongres, zakazujący wywozu broni do państw prowadzących wojnę, bynajmniej nie przesądza o neutralności Stanów. Już w październiku 1937 r. Rosevelt występuje z mową w Chicago; dzieli narody na pokojowo usposobione i na „wprowadzające stan międzynarodowej anarchii i chaosu, z którego nie można uciec ani przez izolację ani też przez neutralność". W następnych swych mowach głosi solidarność ze światem demokracji, atakując faszystowskie metody rządzenia na wewnątrz i groźby użycia brutalnej siły w stosunkach międzynarodowych. Stwierdza wyraźnie, że okres izolacji faktycznie się skończył: „poznaliśmy, że świat stał się naszym sąsiadem".

Solidarność U. S. A. z demokracjami Europy nie wisi bynajmniej w powietrzu. Solidną jej podstawę stanowi gospodarcza wspólnota handlu międzykontynentalnego, która znalazła swój wyraz w układzie walutowym St. Zjednoczonych, Anglii i Francji we wrześniu 1936 r. oraz w podpisanym ostatnio układzie handlowym angielsko-amerykańskim. Następnie w lokatach Stanów w Imperium brytyjskim. Sama Anglia posiada 30% walorów amerykańskich, ulokowanych zagranicą, Kanada zaś 23%. Zarówno w południowej Ameryce jak i na Pacyfiku występują U. S. A. i Anglia solidarnie przeciw ekspansji państw bloku faszystowskiego.

W obliczu światowego wyścigu zbrojeń propaguje i realizuje Roosevelt dozbrojenie Stanów. Podwyżka budżetu wojskowego, który dotąd wynosił 1150 milion. dolarów, o 25% — to stanowczy zwrot ku zamianie Stanów w potęgę militarną na lądzie i morzu. A olbrzymie zasoby tego najbogatszego kraju świata i jego wyjątkowo dogodne położenie geopolityczne sprawi, że U. S. A. będą decydującą siłą w przyszłym konflikcie światowym.

Polityka zagraniczna Roosevelta, w szczególności jego ostatnie posunięcia ściągają na jego osobę coraz

gwałtowniejsze ataki w prasie niemieckiej. Urzędowy organ międzynarodowej reakcji „Völkischer Beobachter", przypisując Rooseveltowi ambicję pójścia w ślady Wilsona, umieszcza go w bardzo wieloznacznym uszeregowania polityków: „Poincaré, Barthou, Austin Chamberlain, Churchill, Roosevelt, Schuschnigg i Benesz są nietylko grabarzami swych systemów, lecz i zarazem mimowolnymi akuszerami nowej Europy. Gdyby ustąpili swe miejsca takiemu Hooverowi, Neville Chamberlainowi i Daladier, wówczas może doszłoby do porozumienia już dziesięć lat temu".

Hitler usiłuje dziś desygnować nietylko premierów Wielkiej Brytanii i Francji, ale chętnie widziałby w Białym Domu prezydenta, który godnie prezentowałby się w szeregu kapitulantów i neutralnymi dostawami w razie wojny, pomógłby mu rozgromić Anglię i Francję i ustalić swą hegemonię w Europie.

IGN. WOLSKI

Głosy demokracji polskiej

Zamieszczamy poniżej deklarację Klubu Demokratycznego w Wilnie, która jest pierwszą próbą bezpośredniego porozumienia się przedstawicieli społeczeństwa polskiego i litewskiego na Wileńszczyźnie. Nie trzeba wskazywać, jak ważną i doniosłą jest ta próba w chwili, gdy w Kłajpedzie rządzi Gauleiter Neumann, zaś w Huszcie „włodarzą"... wiadomi radcy ks. Wołoszyna; nie trzeba również podkreślać, jak ważne jest to porozumienie ze stanowiska polskiej racji stanu.

EPOKA

DEKLARACJA.

My, Klub Demokratyczny w Wilnie, oraz grupa przedstawicieli społeczeństwa litewskiego, po rozważeniu obecnej sytuacji ludności litewskiej w obrębie Rzeczypospolitej Polskiej, uznajemy zgodnie za słuszne i naglące:

A) 1-o Zapewnienie ludności litewskiej w Rzeczypospolitej Polskiej wolności nauczania we własnym szkolnictwie niższym i średnim;

2-o ufundowanie przy Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie katedry filologii litewskiej;

3-o zapewnienie ludności litewskiej wolności zrzeszania się w organizacjach i instytucjach o charakterze politycznym, kulturalno-oświatowym, naukowym i gospodarczym;

4-o otwarcie nieskrępowanego dostępu Litwinom do pracy i stanowisk w urzędach i instytucjach państwowych i samorządowych;

5-o równomierne traktowanie potrzeb ludności litewskiej przy wykonywaniu reformy rolnej, jako też faktyczne nieograniczanie Litwinów w nabywaniu nieruchomości wiejskich i miejskich.

Powyższe postulaty ustalamy w tym głębokim przeświadczeniu, że mają one zaspokoić niezaprzeczalne i słuszne potrzeby ludności litewskiej w kraju naszym, oraz że stanowią konieczny warunek zgodnego i lojalnego współżycia w Rzeczypospolitej Polskiej.

B) Z drugiej strony uznajemy za konieczne, aby wszystkie zasady wyrażone powyżej, znalazły należyty odpowiednik w stosunku władz litewskich i społeczeństwa litewskiego do takich-że, niezaprzeczalnych i słusznych potrzeb ludności polskiej osiadłej w Rzeczypospolitej Litewskiej, jako konieczny warunek zgodnego i lojalnego współżycia w państwie litewskim.

W imieniu Klubu Demokratycznego podpisali:

Prof. M. Kridl, Mec. B. Krzyżanowski b. poseł i senator, Mec. K. Szablewski, Red. H. Romer-Ochenkowska, H. Kappowa, Red. L. Abramowicz, Dyr. W. Abramowicz b. senator, Red. R. Węckowicz, Mec. H. Sukiennicka, Prof. J. Rudnicki, Prof. St. Srebrny, Prof. A. Zygmund, Prof. H. Elzenberg, Prof. W. Sukiennicki, Prof. Z. Zawadzki, G. Kosińska, A. Zawadzka, K. Francikowska, W. Milwid.

W imieniu społeczeństwa litewskiego podpisali:

Prez. K. Staszys, Prez. A. Krutulis, Dyr. A. Macionis, Dyr. M. Szyksznis, Red. W. Żylenas, Red. H. Cycenas, Wł. Narbut, Dyr. A. Petraitis, Ks. Prez. K. Czibiras, Ks. Prez. A. Wiskont, Red. J. Jankauskas, Mgr. W. Dasys, Mgr. H. Horodniczy, Mgr. H. Horodniczute, Mgr. W. Martinkenas, Inż. M. Czibiras, Mgr. A. Juszkiewiczius, Inż. M. Kraużlis, St. Szulja, Mgr. B. Untulis, Dr. J. Markowicz.

Za zgodność:
M. Kridl.

Wilno, 31.XII. 1938 r.

W IMIĘ PRAWDY I SPRAWIEDLIWOŚCI.

List otwarty do „Polskiego Radia".

Grono radiosłuchaczy zwraca się do „Polskiego Radia" w imię prawdy i sprawiedliwości społecznej z następującym listem otwartym.

W dniu 17 grudnia r. b. o godz. 20.30 w dziale informacyjnym „Polskiego Radia" przez rozgłośnię Raszyńską, pod tytułem „Unarodowienie handlu w Polsce" — przemawiał p. Cichomski. W formie lakonicznej, a zarazem demagogicznej przedstawiał radiosłuchaczom tezy o unarodowieniu handlu w Polsce.

Z pośród swoich haseł między innymi, na pierwszy plan wysunął postulat redukowania udziału Żydów w handlu. Na zakończenie swego przemówienia, nawiązując do poprzednio wymienionych tez, zwrócił się z apelem do społeczeństwa, aby wobec zbliżających się świąt Bożego Narodzenia czyniło zakupy wyłącznie w firmach polskich. Zbyteczne są komentarze, przeciw komu to przemówienie ostrzem swym jest skierowane i jakie cele nieszczere i niehumanitarne ono ukrywa.

Wobec takiego wystąpienia zapytujemy ze zdumieniem, czy Polskie Radio, które zakreśliło sobie wzniosły program działalności kulturalnej i które na tym polu tak chlubnie dotychczas się zapisało, może ze spokojem i pełną odpowiedzialnością wobec swej misji i zadań zezwalać na wtargnięcie do jego świątyni haseł demagogicznych i niehumanitarnych, oraz na zatruwanie jadem nienawiści za pośrednictwem fal eteru szlachetnych umysłów społeczeństwa polskiego!?

Łódź. (—) **Aleksandra Domagałowa** (Nauczycielka — Ruda Pabianicka), (—) **Dr. Jerzy Pik**, (—) **St. Aletowa** (Nauczycielka gimnazjum), (—) **Lew Wilkowicz** (Urzędnik prywatny), (—) **R. Szymański** (Kierownik wydz. budowl. przy Zarządzie Miejskim), (—) **Palusiński** (Nauczyciel gimnazjum), (—) **Kazimierz Gallas** (Kierownik wydziału egz. przy Zarządzie Miejskim), (—) **Prof. dr. W. Tomaszewicz**, (—) **Dr. St. Więckowski.**

Z kół krakowskich piszą do nas:

Szanowni Obywatele!

„W artykule p. t. „Lud za demokracją" w ostatnim numerze „Epoki" czytamy, iż w ostatniej chwili przed wyborami z listy Ozonu — Frontu Morges wycofali się niektórzy działacze ludowi kandydujący z tej listy.

Uważamy za potrzebne wyjaśnić Wam, iż Panowie Dr. Wusatowski, Dr. Świgost, Dr. Zachemski i P. Ida Kotowa, członkowie Stronnictwa Ludowego, kandydujący z listy nr. 3 — kandydatur swych nie wycofali.

Tym niemniej nikt z wymienionych nie został wybrany".

Najcichszy kraj na ziemi

Czytaliśmy w prasie codziennej, że „władze węgierskie wydały zakaz posługiwania się językiem ukraińskim na obszarach, które na mocy decyzji wiedeńskiej komisji arbitrażowej przypadły Węgrom".

Ludność tamtejsza zacznie więc porozumiewać się na migi — prawo mówienia będzie przysługiwało tylko Żydom, którzy znają język węgierski. Na wsi będzie cichutko jak makiem zasiał. Okolice Użhorodu i Mukaczewa staną się niewątpliwie najcichszym krajem na ziemi. Dla skarbu węgierskiego otworzą się nowe źródła dochodów, bo na terenach tych powstaną liczne sanatoria dla nerwowo chorych i luksusowe pustelnie dla zniechęconych do świata bogatych mizantropów. Dolary i funty obfitym strumieniem zaczną napływać do kas Banku Węgierskiego.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Jan Brzechwa: Imię Wielkości. Wiersze o Józefie Piłsudskim. Warszawa 1938. Z rysunkami **E. Bartłomiejczyka.** Wydawnictwo J. Mortkowicza.

Feliks Gross: Proletariat i Kultura. Z przedmową **Kazimierza Czapińskiego** i wstępem **Zygmunta Mysłakowskiego,** prof U. J. Warszawa 1938. Nakładem Związ. Zawod. Prac. Kolejowych.

Władysław Baranowski: Rozmowy z Piłsudskim 1916—1931. Warszawa 1938. Instytut Wydawniczy Biblioteka Polska".

W. K. Arseniew: Derzu Uzała. Przełożył **Dr. J. P. Zajączkowski.** Warszawa 1938. Two Wydawnicze „Rój".

Fryderyk Engels: Ludwik Fenerbach i zmierzch klasycznej filozofii niemieckiej. Warszawa 1938. Wydawnictwo „Europa".

Julian Tuwim: Słoń Trąbalski: Ilustrowała **Janina Jankowska.** Warszawa 1938. Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Anna Lewicka: Wśród naszych łąk i borów. Obrazki z życia zwierząt. Wydanie II. Warszawa 1938 Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Teodor Dreiser: Finansista. Tom I. Proces II. Powieść. Autoryzowany przekład **Marcelego Tarnowskiego.** Warszawa 1938. Powszechna Sp. Wydawnicza „Płomień".

Julian Tuwim: O Panu Tralalińskim. Ilustrowała **Franciszka Themerson.** Warszawa 1938. Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Irena Tuwim według tekstu **Walta Disney'a:** Królewna Śnieżka. Warszawa 1939. Wydawnictwo J. Przeworskiego.

Georg Fink: Dzieci ulicy. Powieść. Autoryzowany przekład **G. Nadlerowej.** Warszawa 1938. Powszechna Spółka Wydawnicza „Płomień".

Romuald Balawelder: Polska ma dostęp do morza. (Wisłą do Bałtyku). Warszawa 1939.

Romuald Balawelder: Wielka Brytania oblana jest morzem. Księgarnia W. Michalak i S-ka. Warszawa.

Wydawnictwa **T-wa „Rój":**

Helena Łysakowska: Szrapnel i krzyż. Powieść. Warszawa, 1939.

Maria Kuncewiczowa: Miasto Heroda. Notatki palestyńskie. Warszawa, 1939.

A Castell: Spotkałam bestię. Powieść. Przekład **Marii Zawadzkiej.** Warszawa, 1939.

François Mauriac: Strumień ognisty. Powieść. Warszawa, 1939.

F. S. Smythe: Obóz szósty. Dzieje wyprawy na Mount Everest w 1933 r. Warszawa. 1938.

Maria Kuncewiczowa: Przyjaciele ludzkości. Warszawa, 1939.

Józef Roth: Fałszywa waga. Powieść. Przekład **Aleksandra Walta.** Warszawa, 1939.

Henry de Montherlant: Życie bez kobiet. Powieść. Przekład **Wacława Logowicza.** Warszawa, 1939.

Roman Koseła: Sandomierskie strony. Rzecz o ludzie sandomierskim. Warszawa, 1939.

Od Wydawnictwa

Prosimy o nadesłanie przedpłaty za kwartał I 1939 r.

CZYTAJCIE i PRENUMERUJCIE

EPOKĘ

„EPOKĘ" można zaabonować telefonicznie TELEFON 2-13-90

„Epoka"

wychodzi trzy razy miesięcznie dn. 5-go, 15-go, 25-go.

Cena przedpłaty wraz z przesyłką wynosi kwartalnie zł. 3.60, mies. zł. 1.20.

Rocznie zł. 14, półrocznie zł. 7,

KONTO P.K.O. 26.630.

Demokracja polska zawsze walczyła i walczy obecnie o przyszłość Polski

REDAKCJA I ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. ORDYNACKA 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K O. 26 630

REDAKTOR przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.

PRENUMERATA kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.

OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm, lub jego miejsce (szer. 90 mm) zł. 1.—. w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm) gr 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 26 Odbito w Zakl. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.